

**Leszek Żuliński**

# **Ja, Faust**

**Wydawnictwo Nowy Świat**  
**Warszawa 2008**  
ISBN 978-83-7386-272-2

## **Jej wiosenność**

*Kiedy ręka, która sięga po jabłko  
jest za krótka,  
jej omdlenie boli długo.*

## **Moja Małgorzata**

Małgorzata wiążąca sandał,  
Małgorzata z Willendorfu,  
Małgorzata z Milo,  
Małgorzata z Samotraki,  
Małgorzata z Lammermoor,  
Małgorzata z Wichrowych Wzgórz,  
Małgorzata z Antiochii, Cortony i Nawarry,  
Małgorzata z Troi,  
Małgorzata czesząca włosy,  
Małgorzata z Wilka,  
Małgorzata z Sadowej i Arbatu...  
Małgorzata,  
kwintesencja,  
mit.

## **Bajka o czarnym kruk, duszy Fausta i uratowanej Małgosi**

Czy widzisz ten cień straszny nad lasem z legendy,  
niepokój starych dębów, popłoch wśród wiewiórek –  
to śmierć, rycerz i diabeł fruną w końskie pędy,  
sam Dürer ich nanizał na różańca sznurek.

Król Olch biegnie za nimi, unosząc w ramionach  
dziecię płaczące cicho nie z głodu, lecz z trwogi;  
Werter pomyka chyłkiem, Brunhilda złęczniona  
i Nibelungów woje, i germańskie bogi,

bowiem powiało śmiercią, odorem starości,  
gdy cień skrzydła rozpostarł, gdy las się poruszył,  
gdy to czarne kruczydło wleciało w swe włości  
podobne kropka w kropkę do Faustowej duszy.

Snuj się szwabska legendo Mozela i Renem,  
Schwarzwaldem i Tyrolem, całą Brandenburgią,  
tylko mojej Małgosi w skałę mi nie przemień,  
tylko mi jej nie zatruj teutońską liturgią.

## Moje dorzecza

Przeze mnie płynie rzeka Faust,  
do której nie śpieszy się wejść Heraklit.

Heraklit nie ma złudzeń:  
kto nie łowi chwili,  
nie złowi minionej ryby  
klęski.

Przeze mnie płynie rzeka Styks,  
Charon z ironią kiwa na mnie palcem,

ale usta zagryza;  
gdyby je otworzył,  
pokazałaby się Wielka Pirania  
Losu.

Przeze mnie płynie rzeka Lilpopo,  
czysta abstrakcja powodu i sensu;

to słowo w języku tubylców  
znaczy tyle, co ferdydurke  
w języku  
Polaków.

Przeze mnie płynie Wisła  
spienionej krwi,

mozolnie wspina się licznymi  
meandrami pod górę,  
przez deltę ust wysącza się ciemną  
strużką...

W niedorzeczności mych dorzeczy  
nic już nie płynie, tylko skrzeczy.

## **Chwila czyli wieczność**

Znowu przyszedł Mefisto  
i opętał mnie Małgorzatą.

Na próżno.

Nie będę błagał chwili,  
aby trwała.

Zrobi to sama,  
przyjdzie w ostatniej chwili,  
będzie idealnie bezbarwna i bezkształtna,  
odziana w nieskończoność, pozbawioną celu,  
jej etyką będzie nieważkość,  
estetyką – brak cech.

Małgorzata byłaby  
nieporozumieniem,  
a może nawet  
konstrukcyjną wadą  
tej chwili.

Przekleństwem materii.

## Déjà vu

Przecież jej nie ma  
w tym miejscu, gdzie jest;

przecież gdy mówi,  
nie dobywa głosu;

przecież gdy wtulam twarz w jej czarne włosy,  
do warg się klei tylko babie lato;

jeśli ją kocham,  
to kocham jej zjawę,  
którą widziałem  
w chruśniaku Leśmiana;

ten pantofelek, który trzymam w ręku  
wykradłem z *Księgi bałwochwalczej* Schulza,  
w barłóg rubaszny wziąłem ją z Villona,  
w ten wiersz podrzucił mi ją sam Bułhakow,  
Jan Wolfgang zatruł  
nieosiągalnością.

## Małgorzata.doc

Małgorzata składa się wyłącznie ze słów.  
Rzeczowniki imitują jej cielesność, ach jak one się starają  
wypaść namacalnie;  
przymiotniki rysują domniemany obraz:  
o, tu jest kruczka czerń włosów, a tu jej łagodność  
wygrzewa się w miedzianym słońcu i chłodzi  
w seledynach księżycy;  
czasowniki –  
one są bardzo ważne, dzięki nim zakładamy,  
że Małgorzata kocha, nienawidzi, drży, ucieka,  
dotyka, nie krzyczy, nie może, nie chce,  
jest, była, nie będzie.  
Się –  
się to zaimek zwrotny,  
to my się w niej, z nią, dla niej, przez nią,  
ale i ona się  
od nas, bez nas...  
Się jak na playliście w odtwarzaczu mp3  
może kręcić ją w kółko;  
ona się w nas  
gnieździ,  
jest.

Gdyby Małgorzata istniała poza Słowem,  
byłaby podejrzenie realna,  
wręcz z innego systemu  
i nie dałaby się zapisać w pliku  
word.doc;

mógłby ją opisać  
tylko jakiś anti-Leśmian  
lub wandal z epoki  
realizmu.



## Jej wiosenność

Jej zawczesność  
peszy mnie.

Jej oczy mają blask,  
który nic jeszcze nie wie o szarzyźnie dnia,  
jej piersi pachną zielonym agrestem,  
usta są nieskalane obłudą i krzykiem,  
jej brzuch jest płaski jak miśnieński talerz,  
pośladki budzą czułość  
niczym małe, przytulone do siebie owieczki,  
a nogi ma tak smukłe,  
że gdybym próbował wspiąć się po nich wargami,  
wpadłbym we wnyki bezdechu.

A przecież ten wiersz  
nie chce być wierszem  
o Zuzannie i starcu,  
o Małgorzacie i Fauście,  
ten wiersz chce być  
prostym zapisem  
wiosny.

## **Elijana**

*Agnieszce Wesołowskiej*

Elijana to miasteczko usypane przez morenę  
i zasypane przez czas.

Można tam spotkać Małgorzatę jak co dzień  
idzie z koszykiem po pęczek polszczyzny  
niezbędnej do ugotowania zupy poezjowej  
niczym włoszczyzna do rosółu.

W Elijanie mieszka Jasieniek.

On patrzy na nią przez szpary w żaluzjach marzenia  
i rozplywa się w schizofrenicznej wibracji  
młodzieńczych pożądań; powietrze niesie bryzę  
jego erotycznych westchnień.

Ludzie szepczą po kątach o wszystkim,  
czego nie rozumieją,  
bo w Elijanie ludzie są tacy jak wszędzie,  
a widok odmieńców spędza im z oczu sen  
i miłosierdzie.

Małgorzata za wszelką cenę  
chce wyjechać w świat, porzucić sen o Jasieńku,  
ciemną zieleń Pomorza i złotą nadzieję piasków;  
chce podnieść żagle i popłynąć w ramiona  
miłości.

A przecież miłość wszędzie taka sama:  
za późna na Jasieńka  
za wczesna na Fausta.

Miłość wszędzie się mija  
jak Małgorzatę na ulicy w Elijanie,  
a gdy się człowiek obróci,  
nie ma już nikogo;  
w powietrzu bryza wspomnienia,  
za nią niewidoczna, coraz bardziej  
niedorzeczna  
młodość.

## Janek

Kiedy Faust poznał Małgorzatę,  
miała czternaście lat;  
nie wiedzieć kiedy wyrosła  
na dwudziestodwuletnią pannę,  
choć została tam – po stronie baśni.

Do dziś siedzi pod czarodziejską górą Margoń\* i czeka  
na przeszłość.

Przez wszystkie te lata  
po cichu rozmawiała z Basią, Łukaszem, Beatą,  
z Arturem, który pokazał jej starą cegielnię,  
z Grzesiem, który nie wiedząc, że ją dotyka – dotknął;  
z ośmioletnim Jankiem, który nauczył ją łapania pstrągów  
w potoku i zabijania ich mocnym plaśnięciem o kamień;  
była jeszcze ciocia Marysia, wujek Edek,  
pomarańcze pod choinką, pizama w myszkę miki  
i boazeria na ścianie przy łóżku,  
w którą Małgosia wtulała nos przed zaśnięciem,  
wzdragając się na wspomnienie  
tych pstrągów i niedalekiej rzeźni.

Małgorzata wciąż orbituje wokół ciała Małgosi,  
czeka na mężczyznę, o czym jeszcze nie wie.

Myśli, że on wyjdzie ze starej cegielni  
i na ramce komunijnego roweru zawiezie ją do kościoła,  
i tam zamieni się w Grzesia, żeby ją Dotknąć.

Mandarynki pod bluzką zamienią się  
w soczyste pomarańcze.

Wszystko pozostanie tak samo,  
a nawet jeszcze bardziej;

tylko nie wiadomo,  
co z Jankiem,  
co z tym Jankiem,  
do diabła.

\* Margoń – góra w Beskidzie Sądeckim

## Szlak Eurydyki

Uważaj, Małgorzato,  
to będzie trudna droga,  
rejs, wyprawa, wspinaczka  
po złote runo słowa,  
ku wolności do,  
ku wolności od.

Nie lękaj się, idę przed tobą,  
laską Edypa rozglądam się po trakcie,  
prowadzę cię do polarnej gwiazdy wszechrzeczy,  
bądź spokojna, nie odwrócę się,  
kieruję się światłem przed nami,  
o, tam w górze, popatrz, to właśnie ona,  
gwiazda, wpatruj się w nią,  
jak ona wpatruje się w ciebie.

Czuję jak halny mojej duszy rozwiewa twoje włosy,  
jak wąty płomyk Hadesu roznieca twoje oczy strachem,  
opanuj drżenie rąk, przecież jestem,  
nie, nie odwrócę się, wyjdziemy na światło razem  
ale w końcu twoja ręka wysunie się z mojej,  
zostaniesz sama, wtedy pamiętaj:  
twoje włosy to żagiel, a ten wiatr  
ten wiatr,  
to moja dusza hulająca ponad oceanem  
wspinaczki.

Do Nieba?  
Do Hedesu?

## **Uluda**

Kiedy Małgorzata rozchyła uda swego wiersza,  
Faust rodzi się na nowo.

Jego krzyk toczy się do wewnątrz jak lawina kamiennych słów,  
oddech wstrzymuje ciało w sinym ataku duszności,  
świat wydaje się wrogi i mroczny.

Małgorzata bierze go wtedy na ręce  
i śpiewa piękne kołysanki dla starców.

Faust zasypia, uda się zaciskają,  
wiersz zwija się w kłębek,

czas staje w miejscu,  
świat się cofa,

wiersz mruczy  
i łowi tłuste myszy  
ułudy.

## Jej sytość

Czekałem wiele lat,  
żeby stanęła przede mną naga  
i zaczęła bez wahania wchodzić  
w mój rozszalały ogień,  
żeby jej ręce w panice niezaspokojenia  
dotykały mnie łapczywie,  
żeby jej włosy oplatały mnie  
jak bluszcz oplata altanę późnego lata,  
żeby jej uda rozchylały się bezwstydnie  
i wzywały mnie w ósmy krąg  
Boccaccia,  
żeby jej pośladki uśmiechały się do mnie  
jak Marilyn Monroe z lusterka,  
żeby jak Joanna d'Arc płonęła  
za swoje niewyrzeczenie  
w tym ogniu.

Ale najbardziej czekałem aż wstanie świt,  
który w pełnym świetle ukaże w kąciku jej ust  
zabłąkany uśmiezek sytości.

## **Smak Małgorzaty**

Jest gorzka;  
kiedy gwiazda piołun świeci nad jej głową,  
piję absynt i przełykam ły.

Jest słona,  
gdy z morza martwego niosę do jej nóg  
wyżartą do białości muszlę moich snów.

Jest słodka,  
zwłaszcza gdy w paroksyzmach nocy  
wyrzuca z siebie imiona innych mężczyzn;

najbardziej lubię, gdy marcepanowa –  
wtedy zapomina o całym świecie  
i patrzy na mnie jak dziecko  
lub łakoma lwica.

## **Biedronki, poziomki**

Małgorzata śmieje się przez sen,  
po jej ciele chodzą dwie biedronki,  
przystają, dziwią się, idą dalej;  
Małgorzacie się zdaje, że to łakome palce  
kochanków czynią sabat  
na czarcich żlebach jej ciała;  
przez sen flirtuje z nimi,  
kusi, wabi ich  
w pajęczynę włosów,  
w dziuplę ucha,  
piwnicę pępka,  
a oni,  
potulni kochankowie,  
idą jak owce  
na rzeź  
jej zachcianek.

Wypieszczone biedronki zasypiają  
na piersiach Małgorzaty,  
widać jak falują pod pościelą  
erekcją poziomkowych sutek.



## Sprawa ucha

Sprawa ucha jest niezwykle ważna;  
na przykład ucho igielne  
jest miernikiem proporcji,  
jeśli się przezeń wielbłąd nie przecisnął,  
możemy się domyślać, jaki dramat  
rozegrał się między dużym a małym.

W Syrakuzach na Sycylii,  
w jaskini zwanej Uchem Dionizosa  
Platon wpatrzony w cienie na wapiennej ścianie  
przeżywał dramat niepojętości Idei.

Ucho szklanki,  
a tym bardziej porcelanowej filiżanki  
jest kruche jak sople lodu;  
jakże dramatyczny wysiłek musi towarzyszyć  
jego codziennym obowiązkom?

Ucho Małgorzaty  
to zupełnie inna kwestia –  
ono nawet nie zdaje sobie sprawy,  
że gra jedną z ról w dramacie  
nienasycenia.

## Wierszyk o zazdrosnym czajniku

Mamy z Małgorzatą nasze małe  
sekrety.

Na przykład  
czasami każe mi klęknąć przed fotelem,  
w którym siedzi,  
odgarnąć w górę sukno spódnicy  
i odsłonić krater  
pępka.

Lubi,  
gdy przykładam ucho i słucham,  
co w pępku piszczy.

I pyta:  
piszczy?

A ja mówię:  
piszczy,  
moja myszko.

Wtedy Małgorzata  
uśmiecha się błogo,  
a ja mruczę jak stary kocur

i oboje udajemy,  
że nie słyszemy czajnika,  
który woła nas do kuchni  
jak oszalały.

## **Punkt G**

Mamy z Małgorzatą także nasze małe, tajemne uniesienia,  
na przykład jej lewe ucho:  
kiedy dotykam ustami jego różowego cypelka, ono zaczyna tańczyć  
jak palmy na wyspach Bora Bora poruszane passatem.

Albo kosmyk włosów,  
ach, to jest zabawa w kotka i w myszkę,  
on wychyla się i kusi, potem znika, i znów się wychyla  
zza atolu ucha, i może tak godzinami;

albo pepek Małgorzaty, na dzień którego  
leżą ponoć zatopione skarby Azteków i klucz do przeszłości;  
otóż pepek wymaga pieśczęt delikatnych, szeptanych,  
uwielbia opowieści o pochodzie pokoleń,  
krążącym po wiecznym kole istnienia.

Ale ten najskrytszy, najbardziej wrażliwy  
punkt G  
odzywa się zawsze wtedy,  
gdy tulę ją w ramionach  
i mówię do niej: Gosiu.

Ona wtedy robi się bardzo mała,  
wdrapuje się na liść rabarbaru  
i niczym Calineczka  
odpływa w krainę baśni.

## **Pępek Małgorzaty**

Udaje krater małego wulkanu na wyspie Jawa,  
jezioro Como, czasem Morskie Oko,  
potrafi – kiedy w humorze – mrużyć się,  
coś szeptać, cmokać, gdy zadowolony,  
a nawet poprosić brzuch do tańca...

... ale to zwykła maskarada,  
nabijanie w butelkę zalotników.

Przecież pępek Małgorzaty to pendrive,  
w którym zapisana jest cała historia świata,  
wszystkie prorocтва Gilgamesza i Popol Vuh,  
dzieje Syjonu, islandzkie sagi, arabskie kasydy  
i szept Wenus z Willendorfu;  
w śnie można po kilometrowych schodach pępka  
zejść w głąb dantejskiego piekła  
lub syberyjskiej kopalni złota,  
w głąb czasu,  
w prejurajskie tropikalne lasy,  
fioletowe pterodaktyle jej trzewii,  
prenatalne formy istnienia,  
mity,  
archetypy,  
toposy,  
można napotkać tam naszych przodków –  
Abla, Hannibala, Dżingis-chana, króla Eryka,  
kod ludzkości,  
wspólne DNA  
i odbitą w bursztynie muszkę,  
która na widok człowieka  
zabrzeczy.

Tak,  
pępek Małgorzaty jest  
pępkiem świata!

## Propozycja

Wróciliśmy właśnie z Norymbergi,  
gdzie gościł nas stary kompan, Dürer.  
Nie powiem, pokazał się jak umiał,  
przez trzy dni nie odchodziliśmy od stołu,  
na którym nie brakło baranich udźców ni jesiotra,  
ptactwa domowego, jak i polnego,  
już ci to krasek, już ci to przepiórek, bekasów i dropi,  
jak również sarniny i zajęcy w sutej okrasie...

... o winach ze schwarzwaldzkiego Staufen nie wspomnę...

Po prawdzie to krążyliśmy między stołem a łóżem,  
ale to dopiero w ostatni dzień,  
najpierw Małgorzata słyszeć nawet nie chciała,  
mówiła, że kochać trzeba sercem, a nie chucią, że pieścić trzeba mową  
a nie bydlęcą wargą, że niewiastę zdobywa się wierszem,  
a nie przebiegłymi palcami,  
ach, co się naszeptąłem obleśnych obiecanek, co się nakusiłem w takt  
podszeptów Mefisia, co naplotłem do uszka świństewek,  
od których robiła się raz blada, raz czerwona,  
wybiegała od stołu do ogrodu, boczyła się

... aż uległa!

... to wtedy spod jej zadartej kiecki wyfrunął czerwony gołąb  
ekstazy, to wtedy z moich lędźwi oderwała się lawina witalnej melasy,  
to wtedy jej pazury przeorały żelazo moich ramion, to wtedy  
z jej gardła wyrwały się fistułki perlistego sopranu i fagoty łkającego altu...

Na odjezdnym Albrecht dał nam sztych swego rzemiosła,  
na nim ja i Małgorzata na pniu pod laskiem,  
w tej chwili, kiedy już nadstawiała ucha  
niecnym propozycjom;

nie wiedzieliśmy, że nas maluje z ukrycia  
kochany, zacny druh...

... sztych potem posłałem Villonowi,  
jako że obaj Małgoški sprośne mamy;  
Villon wprawdzie już wtedy nie żył od sześćdziesięciu lat,  
dał wszakże znak, że zacne leże

wyżej stawiać trzeba niż klęcznik  
lub pulpit pod księgę.

## **Kosmyk**

Za lewym uchem Małgorzaty tańczy  
kosmyk czarnych włosów.

Czasami owija go sobie  
wokół palca i uśmiecha się dziwnie  
jak Gioconda,

wtedy po tym kosmyku przemykam  
w stany nieważkości  
wszystkiego i

stąd ta okropna obawa,  
że wraz ze mną może umrzeć  
kosmos,  
a to z tej prostej przyczyny  
że gdy akurat będę TAM,  
nogi odmówią mi powrotu  
i nikt nie dowie się już,  
co jest po drugiej stronie kosmyka.

A przecież  
kosmos, o którym nic nie wiemy,  
kurczy się i usycha, a nawet okazuje się  
ponurym żartem astronomów  
lub tajemnicą Galileusza  
zabraną do grobu.

## Na szczęście

To było późnym majem tysiąc pięćset trzydziestego pierwszego;  
w powietrzu wisiał leniwy upał, latawiec błękitu zasłaniał całe niebo.

Baraszkowałem z Małgością w stogu siana,  
wyszukiwała tam zeschnięte łąkowe kwiatki, wtykała je sobie,  
hm, jakby to powiedzieć...  
tu i tam, i prosiła, abym je wyjmował, ale tylko ustami,  
a śmiała się tak, że potem z tego śmiechu  
narodził się Mozart.

Kiedy za jej lewym uszkiem znalazłem koniczynkę,  
niebo przeszła nagła błyskawica i zaraz potem,  
zupełnie niedaleko, rozległ się wielki grzmot;  
Małgorzata wyjęła mi zielsko z ust i powiedziała: zostańmy tu,  
koniczyna jest na szczęście.

Do domu wróciliśmy przemoczeni do suchej nitki,  
zdrowi i cali, na szczęście.

Ale właśnie od wtedy śnią mi płonące stosy,  
niebo rozdarte kanonadą ognia i chmury rozpędzane wichurą,  
spoza których dochodzi diabelski rechot;

to jednak mogą być omamy,  
to mogą być równie dobrze koloratury Luisy Tetrazzini  
z *Zaczarowanego fletu*, bo diabeł udający Mozarta  
byłby większą perwersją niż Małgorzata w stogu siana,  
co niemożliwe

na szczęście!



## Lot dzikiej gęsi

Tamtego dnia

Małgorzata podeszła do mnie z takim impetem,  
jakby z góry wiedziała, co ma się stać;  
z jej ramion zsunęły się brokaty  
aż jasność różowego ciała zakłuła w oczy  
nawykłe tylko do przepatrywania nocy;  
czułem pragnienie, które parowało każdą szczeliną jej skóry,  
czułem ten dziwny dreszcz, który przebiegał  
przez jej kręgosłup,  
wpadał między pośladki  
i ginął w grząskim moczarze,  
skąd dochodziło echo mojego skomlenia.

Kiedy odbiliśmy się od podłogi,  
świat wstrzymał oddech,  
gwiazdy zaczęły spadać z sufitu na łeb na szyję,  
ściany zawirowały jak oszalałe,  
don kichot ruszył do szarży  
w niemej dzielności  
i zapamiętaniu.

Włosy Małgorzaty  
tańczyły jak witki wierzby  
przeczuwające nawałnicę;  
od jej warg odrywał się daleki grzmot,  
coraz wyżej szybowały uda rozłożone do lotu,  
i nagle z ust dobył się krzyk dzikiej gęsi,  
która odbija się od tafli jeziora i wznosi  
ku kłębowi nadchodzącej burzy.

Potem leżeliśmy obok siebie dysząc.

Małgorzata wyszarpywała pazury z moich pleców,  
czesała nastroszone pióra  
i gęgała mi do ucha  
swoje codzienne  
głupstewka.

## Ulica Pożądania

*jakże mi szkoda  
tej zawsze jednej strony nie widzianej!*  
(Miron Białoszewski)

Diabli nadali Małgorzatę przy ulicy Gołębiej;  
Faust akurat szedł był w stronę Collegium Maius  
na nie kończące się od tygodni dysputy  
w sprawie kamienia filozoficznego  
i nagle przed nim, z fal przelewającego się tłumu żaków,  
niczym Wenus wyłoniła się Ona,  
rytm jej ciała zaczynał się w małych zagubionych zatoczkach  
za wysepkami uszu, przechodził na żleb szyi i rozlewał się  
po ramionach, po czym spływał duktem kręgosłupa  
i jak brzożowe witki w łaźni wprowadzał poślądki w stan  
słodkiego dygotu aż poczęły kołysać się niczym dwie fale  
pod spódnicą oceanu. Faust szedł jak zahipnotyzowany,  
menuety i dostojne pawany nie wprowadzały go w taką ekstazę  
jak ta gibka fregata bioder, która opływała równik  
jej ciała, kusila swoją otchłanią, wabiła głosem syren  
niesytych igraszek pod powierzchnią kipieli.

I nagle Małgorzata przyśpieszyła kroku,  
unosząc poza widnokrąg pagórki swoich piersi,  
płaskowyż brzucha,  
sekwoje ud i jasną brzożę szyi,  
całą tę nie widzianą stronę siebie  
przelaną w domysł Fausta.

Wrócił do bursy, rzucił się na łożo  
i wtedy znowu nadpłynęła ta fala:  
biodra Małgorzaty jak kamienie młyńskie  
zaczęły kruszyć zapamiętane widoki,  
tłuc gład snu na drobne kamyczki drzenia  
i niczym żarna rozcierać je na mękę słodkich omdleń.

Nad ranem zasnął w hamaku idących bioder,  
w płodowych wodach oceanu,  
w syrenim zewie jej ciała;

śniło mu się, że goni Ulicą Pożądania  
uciekającą połowę jej obietnic.

## Niemoc przednówka, moc wiosny

W przeciągach nadchodzącej wiosny,  
kiedy śniegi stopniały, a łąki nie zaczęły się jeszcze zielenić,  
na przednówku głodnym od wypatrywania wysokiego słońca  
Małgorzata popadła w malignę, pot zrosił jej rozgrzane czoło,  
a usta szeptały same do siebie,  
jakby nie wyczuwały bliskości Fausta.

Otulona baraniami skórami leżała już trzeci dzień w alkwie,  
w tej samej, która jemu przywróciła siły i młodość,  
kiedy odrzucił laskę i dopadł był Małgorzatę jak jurny daniel  
kryjący łanię w porywczym zapale lędźwi nad jej niesytym zadem.

Teraz drżał w obawie o zemstę Mefista,  
diabli nadali, to i diabli wezmą;  
Faust jak nikt inny wiedział wszystko o efemerydzie chwili,  
ulotności szczęścia,  
darach losu, które parują na wiosnę  
niczym wilgoć po porannym śniegu;  
bał się choćby na moment przymknąć oczy,  
bowiem już tylko one pilnowały  
trzymania się rzeczy i nadziei.

I trzymania jej ręki  
jak ostatniej deski ratunku.

Po wielu godzinach poczuł, że ręka unosi się  
ku jego włosom. Małgorzata wracała do sił,  
jej oczy odzyskiwały blask, usta zaczynały wabić.

Wycieńczony przestał podtrzymywać głowę w ramionach,  
która ciężkim kamieniem stoczyła się na piersi.

Nazajutrz oboje wychodzili z tej niemocy,  
speszony Mefisto schował się w spróchniałej wierzbie,  
a alkowa szykowała się do kolejnego faustowiska  
u progu wiosny.

Łanie galopowały przez brzuch Małgorzaty,  
daniele zwarły się porożami w jądrach Fausta,  
księżyc grał na fletni Pana,  
a gwiazdy klaskały w dłonie.

## Zwiastowanie Małgorzaty

W końcu postanowił się z nią rozmówić;  
kiedy kopała ziemniaki na spłachetku za domem,  
podszedł niepostrzeżenie i klepnął ją w tyłek  
jakby kijanką nad strugą klasnął kto sukno lniane,  
jeszcze nie zdążyła wyprostować pleców,  
a on już za kibić przygarnął ją do siebie,  
usta przyłożył do jej ucha  
i zacharczał głosem zranionego gawrona:  
powiedz no, powiedz, młódko,  
na jaką górę wstrętu wspinasz się każdej nocy,  
kiedy mój ogier ziej z chrap  
owidiuszowym płomieniem?

Małgorzata nieśpiesznie odwróciła się,  
w jej oczach odbijało się łagodne niebo Badenii,  
na ustach błąkał się uśmieszek pobłażania,  
dłonią starła mężczyźnie pot z czoła,  
lekką zacisnęła zęby na jego sfilcowanym uchu  
i wyszeptła: Fauście, co noc budzisz we mnie niewiastę,  
wydobywasz ze mnie nieznane soprany,  
wydłużasz moje palce jak u sokolicy,  
a kiedy wyrzucasz mnie w górę,  
wspinam się wysoko  
i spadam nagle w dół,

łapię w szpony małe zajaczki,  
aby nakarmić nasze młode,  
które mi dasz;

tymczasem są to ziemniaki,  
choć okraszę je,  
należę ci kubek maślanki,  
pojedz sobie, zaśnij,  
pośnij  
swoje ojcostwo  
jako na ziemi  
tak i we mnie.

## Straszne podejrzenie

Wierzę, że Małgorzata  
nie jest ze mną z litości,  
to dobra dziewczyna,  
dręczą ją moje nocne ataki krzyku  
i odleżyny samotności.

Ale przecież nie jestem ślepy,

widzę  
jak wymyka się chyłkiem z chaty,  
potem wraca nad ranem rozgrzana jak marcowa kotka,  
pachnie tytoniem – choć nie pali,  
potem – choć się nie poci,  
sperma – choć przecież już nie pamiętam  
kiedy to robiliśmy.

Kiedy wstaje dzień,  
głaszcze mnie po głowie,  
podaje poranną stawę,  
w jej oczach widzę niewyspaną radość  
ze wspólnej obecności.

Mówi,  
że jestem jej potrzebny  
i chłonie każde moje słowo.

Tak,  
jestem dla Małgorzaty kimś ważnym,  
ale przecież niewiasta musi czasami  
odetchnąć od ciężkiego reżimu miłości  
i perliście się pośmiać w oberży  
„Pod Krzepkim Bykiem”.

## Cud

Małgorzato,  
to jest tylko alchemia,  
kilka zaklęć,  
uroków,  
napojów miłosnych  
przyrządzonych na górze Brocken  
w ponurą Noc Walpurgii

i będziesz moja.

Nawet nie ockniesz się po mojej śmierci;  
Mefisio, ten stary łajdak przemieniony w psa,  
będzie wył pod twym oknem  
najlepsze arie Pavarottiego.

Nie miej złudzeń,  
to wszystko chemia lub alchemia –  
bez różnicy;  
jeśli zaczarujemy cię udatnie,  
będziesz szczęśliwa.

I to jest ten cud  
starca, ale mędrca.

## Brooklyn, koniec wiosny

Małgorzatę widziałem ostatni raz kilka lat temu  
na Eckford St. w N.Y.,  
biegła do redakcji „The Voice”,  
towarzyszył jej czarnoskóry gitarzysta Christopher;  
pędziła przodem zaaferowana, zdyszana,  
jakby wyskoczyła z subwayu,  
gdzie przed chwilą wybuchła bomba.

Stałem oparty o pień wielkiego platana,  
nadchodził kwiecień, od Wielkiej Kałuży szedł powiew  
karaibskiego upału,  
chwyciłem ją za rękę, czarny podskoczył  
z pięścią, ale wstrzymała go lekkim drgnięciem dłoni  
i powiedziała cicho: *daj spokój Chris,*  
*well, Gosha*, odchrząpnął i odszedł kilka kroków,  
a ona do mnie wyszeptała zdumiona:  
*Faust?, to ty?*

Od wielu dni nie goliłem się,  
dżinsów nie zdejmowałem od tygodni,  
tylko w razie potrzeby fizjologicznej;  
zapewne dolatywał ode mnie smród  
najciemniejszych zaułków Harlemu  
i pisuarów z obrzeży Central Parku.

Patrzyliśmy na siebie przez kilka minut,  
nagle Gosha zerknęła nerwowo na zegarek  
i krzyknęła *sorry*, Tusi, nie mam ani chwili;  
pogłaskała mnie czule po policzku,  
tak czule, jak to ona potrafi,

i już za moment przepadła w szachownicy  
samochodów, busów, ludzi, witryn, bannerów;  
ostatnim szczegółem, jaki zapamiętałem,  
była żółta bejsbolówka Chrisa  
unosząca się nad tłumem jak latawiec  
nad East River.

Powlokłem się na brooklyński most,  
gdzie jak zawsze rezydował niewidomy żebrak;  
tabliczka stojąca obok niego głośiła

*przyjdzie wiosna, a ja jej nie zobaczę.*

Poszedłem dalej,  
wiosna nadchodziła w rzeczy samej,  
widziałem Ją.



## **Faust myśli o poezji, myśli o kobiecie**

Poezja jest krasomówstwem duszy,  
jej trznadłe i czyżyki przysiadają na ustach tych,  
którym w gardle uwiązł krzyk zachwytu, krzyk bólu,  
którzy zobaczyli to, czego nie można opowiedzieć  
(a jednak uwierzyli, że można),  
którzy w nocy spadają ze srebrnej drabiny księżycy,  
w dzień wspinają się pod korzenie perzu i nawłoci;  
poezja nie musi stroić dla nich piórek,  
nie musi niczego,  
zwłaszcza pudrować słów.

Słowa proste i jasne –  
to nimi karmią się ptaszki poezji,  
odbijają się od ust, fruną,  
łapią w powietrzu tłuste kąski sensów,  
świergołą,  
wreszcie przysiadają na gałązce skupienia.

Wtedy poeta pisze wiersz;  
w ciszy,  
słysząc tylko milczenie,  
w milczeniu przegląda się los,  
w losie można dojrzeć otwartą ranę,  
poeta posypie ją solą i natychmiast opatruje plastrem wiersza,  
zmęczony rzuca się w otchłań swojej kobiety  
(może jeszcze raz uda się to znieczulenie  
ten wybieg z otwartej przestrzeni wolności  
w zamkniętą klatkę odurzenia).

Dowiedziałem się o tym zbyt późno,  
zawsze posługiwałem się szkiełkiem i okiem,  
duszy szukałem w kamieniu,  
nie ufałem poezji,  
podejrzewałem że jest ona cielećcooką oszustką,  
majaczeniem słabych i płaczących  
dopiero Małgorzata zburzyła ten porządek wiedzy,  
i wzniciła ogień w moich starych popiołach.

A jednak nadal nie rozumiem ani kobiet, ani poezji;  
kobiety rodzą synów, zabijają mężczyzn,  
wyludniają, aby zaludnić,

pojawiają się, aby odejść,  
umierają z rozkoszy,  
kiedy świat umiera od zarazy i głodu,  
są po to, aby nas odgradzać  
od istoty.

Poezja broni istoty,  
ale zbyt łatwo daje się przekupić,  
obraca twarz w stronę błyskotek, szminkuje usta,  
zbyt często roni łzy od kiedy zauważyła,  
że jest jej z tym do twarzy;

kiedy przychodzą obie naraz  
jak siostry syjamskie kotki,  
kobieta i poezja, trzeba uważać  
rozdrapia, rozbiorą nas w gorączce  
do zupełnej nagości.

Nawet trznadle i czyżyki  
nie umkną tym kociacom.

## Prośba Małgorzaty

Podotykać mnie przez wiersze,  
prosi Małgorzata.

A jak ja, zwykły alchemik,  
który od pięćdziesięciu lat nie może znaleźć  
ani kamienia filozoficznego,  
ani zwykłego, sprzedajnego złota,  
mam rozpoznać fenomen metafory,  
w który zwinęła się jak w kłębek,  
jak mam wziąć w palce alegorię jej ducha,  
uchwycić madrygał śmiechu,  
wpleść jej we włosy sonet mych zadziwień,  
jak mam wystukać na jej brzuchu nasze epitalamium,  
jak na jej plecach wypisać skryty erotyk,  
odę do radości zmieścić w stromości jej ud,  
a u kopył pośladek zawiesić barokowy ornament  
litanii?

Jak dotknąć ją mrugnięciem fraszki,  
rozgrzać patosem dytyrambu,  
połaskotać oksymoronem tej słodkiej goryczy,  
którą czuję w trzewiach pożądania?

Jakim heksametrem odmierzyć jej puls,  
jaką przerzutnią położyć ją na łożu  
i zgwałcić lirycznym epitetem?

Nie, Małgorzato,  
za wiele ode mnie żądasz,  
umiem opowiedzieć tylko czas,  
który mknie jak Heraklitowa rzeka  
i w którym można łowić majaki,  
w żadnym razie realia.

## **Wiersz, który boli**

Między Faustem a Małgorzatą  
wiersze zaczynały się tam,  
gdzie kończyła się rozmowa.

Brały na siebie słowa, które nie przechodzą przez gardło,  
których się boimy lub które nie przychodzą do głowy.

Gdy już usta nie chcą się otworzyć,  
wtedy otwiera się wiersz;

on udźwignie każde słowo,  
ubierze je we wszystko, co nie mieści się w gardle,  
czyż krztusimy się na samą myśl;

wiersz umie też lepiej kłamać,  
a przyciśnięty do muru wykpi się fikcją.

Ale nie upilnowany – zdradzi,  
wyśpiewa wszystko jak z nut, doniesie,  
obnaży.

Kiedyś Faust przyłapał w takim momencie Małgorzatę:  
stała w świetle swego wiersza naga, nagusieńka,  
przed zupełnie innym mężczyzną,

to wtedy zaczęło go prześladować skrzydło kraski,  
cała piękniejsza część stała się tylko domysłem  
lepszą częścią kikuta, bardziej odciętą niż on sam...

Pomiędzy jednym a drugim  
pozostał nie napisany przez Fausta wiersz,

który go boli.

## **Epicentrum**

Wietrzyłem to trzęsienie ziemi,  
Czułem, że ono nadchodzi,  
że zbliża się, nasiąkając przed wybuchem  
cierpkim, różowym granatem...

... nagle Małgorzata poderwała się  
i wybiegła na kilka lat.

Odzyskałem przytomność na bezludnej wyspie,  
w powietrzu wisiała pustka i kosmiczny  
pył katastrofy,  
przeszłość i przyszłość  
stały w martwym punkcie.

Kiedy wróciła, nie poznałem jej,  
a ona w miejscu po mnie  
znalazła tylko krater  
po wybuchu wiersza –

epicentrum samowyniszczającej  
miłości.

## Sonata księżycowa

Ilekróć Faust budził się w środku nocy,  
Małgorzata stała w oknie i rozmawiała z księżycem;  
tylko on posiadał dar wywoływania jej z pościeli,  
lunatycznego kuszenia jej zaspanych tęsknot,  
tak, widziałem, widziałem na pewno  
jak rozcapierzał swe srebrne palce  
i wplatał je we włosy Małgorzaty,  
jak wysyłał zajączki światła, by kicały po jej ramionach  
i przysiadły w dołkach obojczyków, a potem  
turlały się po jej piersiach jak po beskidzie  
pokrytym pierwszym śniegiem;  
słyszę ten srebrny śmiech Małgorzaty jeszcze nad ranem –  
tak opędza się od błyskających selenem berbeci,  
że przygarnia je do siebie i tuli;  
czasami księżyc na czerwonym rumaku wjeżdża  
pod arkadę jej ud,  
wtedy Małgorzata jest w pełni,  
nabrzmiwa powabem zakazanej twierdzy,  
która nawet jemu stawia opór amarantową fosą odmowy,  
ale potem przychodzą noce somnambulicznego karnawału,  
widzę jak księżyc bierze ją w ramiona i tańczy sonatę,  
tiule Małgorzaty snują się po czarnej kanwie nieba,  
cekiny jej śmiechu zmieniają się w deszcz spadających gwiazd,  
jej rozwiane kosmicznym przeciągiem włosy omiatają  
niebo nad Margoniem, a lata świetlne prześcigają się nadaremnie  
w pędzie z jej młodością.

Kiedy po północy Małgorzata wraca omdlona do łoża,  
Faust bierze ją w ramiona i jeszcze przez jakiś czas  
udaje wielką korwetę niebios kołyszącą ich  
w półśnie, półjawie,  
jakby sam Beethoven trącał fale  
tej baśni.

## Selenowe tango

To była jasna, kryształowa noc zimy;  
Faust z za wysokiej śluzy snu łapał powietrze  
urywanymi haustami, nogi miał zaplątane w skopaną pościel,  
włosy sklezione potem ciężkich omamów;

kłócił się z kimś schowanym za drugą stroną księżyca;

nagle otworzyły się drzwi ciemnej amfilady,  
po srebrnym sznurze – jak w cyrku – zjechała w dół Małgorzata,  
przysiadła na brzegu łóżka, wzięła ręce Fausta w swoje  
lunatyczne dłonie i wyszeptwała:

– Jak pięknie mnie wymyśliłeś, Fauście.

Tak, tamtej styczniowej nocy  
Faust zasnął wcześniej ścięty podmuchem chłodu,  
w jego śnie pojawiła się czarna amfilada skojarzeń,  
najpierw ta zima, kłusująca palce stóp,  
inkrustująca siwą brodę koronką brabanckiego mrozu,  
pozostawiająca fioletowe wykwity na nosie i policzkach,  
jakby chciała powiedzieć: tak, jestem zima,  
niosę ci Fauście szron starości, drętwienie kończyn,  
lodowatość serca...

Na imię mi Małgorzata,  
po tym srebrnym sznurze odpłyniemy z areny  
w oklaskach widowni, rechocie clownów, łzach arlekinów,  
tam czeka na nas Twardowski, Dante, Drakula,  
Frankenstein, Hitler, Stalin, car Iwan, Torquemada,  
Saddam, Herod, Ceausescu i ojczulek Mefisto;

to będzie nasza Noc Walpurgii,  
zatańczę z wami chłopcy  
selenowe tango;  
ja – słoneczna strona waszych ciemnych snów.

## Łza

To było, oczywiście, w Staufen;  
w Oberży pod Lwem kończyli jeść kapłony,  
on trzymał w dłoni halbę piwa, ona czarkę miodu,  
rozmawiali o niczym – najedzeni i niesyci siebie,  
nagle po policzku Małgorzaty zaczęła toczyć się łza,  
bardzo, bardzo powoli, jakby zabrakło jej powodu  
lub zdecydowania, by spłynąć jednym szusem  
niczym narciarz ze zbocza Hornisgrinde,  
raczej zsuwała się, pełzła,  
najpierw wzdłuż stoku nosa,  
potem przystając przy jego drgającej muldzie,  
by nagle, jak lawina,  
potoczyć się prosto w kącik ust;

tam przepadła jak kamień w studni.

Małgorzata nic nie powiedziała,  
przetarła brzegiem dłoni wilgotne oko  
i zaczęła w pośpiechu mówić coś wesołego,  
jakby dalej tą samą dłonią wycierała  
zaparowaną między nimi szybę.

Jeszcze tego samego wieczora  
Faust chciał napisać traktat o łzach,  
ale okazało się to zbędne;  
ta jedna, niespodziewana,  
pozbawiona powodu i kontekstu,  
była czystym kryształem bezsensu,  
spadającą gwiazdą nicości,  
unicestwiającą wszystkie inne

i dlatego  
tak strasznie nad nią  
zaszłochał.



## Te straszne noce

Faustowi śniły się kobiety  
z obrazów Egon Schiele'go;  
chodziły po Mariahilferstrasse,  
snuły się po galeriach Museums Quatier,  
wychodziły z bram Spittelberggasse  
i wabiły zielonymi pończochami, rudymi włosami  
żołdaków z pobliskich koszar;  
w restauracji Boheme przez długie szklane fifki  
wciągały do płuc pożądanie mężczyzn,  
krztusiły się ze śmiechu ich łapczywym oddechem,  
wbijały wzrok w surduty kryjące portfele,  
a potem wszystkie zwracały wzrok ku niemu  
i szeptały *mein kleiner Faust, komm zu mir,*  
*schnell, schnell* siadały na nim okrakiem i galopowały  
szybciej niż rumaki na Praterze.

Już po pierwszym uderzeniu szpicrutą  
budził się zlany potem, spomiędzy jego ud strzelał w niebo  
bolesny gotyk, w ciemnych kruchtach pamięci  
skraplał się pot i zaduch miłości;

jego jęk budził Małgorzatę, brała go wtedy w ramiona  
i mówiła: Fauście uwiera cię ciało, boli cię ciało, dotyk  
to jęzor piekielnego ognia, znowu się poparzyłeś,  
czuję swąd twoich myśli, słyszę rechotanie jadowitych ropuch  
w twoim podbrzuszu,  
przytul się do mnie, uśnij, ja przecież nie istnieję,  
jestem bezcielesna, leżę koło ciebie, abyś pragnąc ciała,  
doznawał ducha,  
po to zostałam wymyślona,  
po to tu jestem, żebyś pojął  
kunszt czystego pragnienia;

śnij.

## Małgorzata albo Leda

Na czarnej smole wody  
biały łabędź;

musiał widzieć baletnicę,  
sam nie wymyśliłby tego skłonu skrzydeł  
nad głową;

może pod wodą nie chowa już łap,  
tylko balerinki  
i drobnym staccato  
na palcach  
pokonuje oleistą tafłę sceny,

a może to Ofelia  
zaklęta w białego ducha,  
jej włosy wyrastają z topieli,  
Hamletowych pożądań;

na powierzchnię snu wypływa  
nagie ciało kochanki;

woda szemrze requiem,  
Ofelia zmienia się w Małgorzatę,  
Hamlet w Fausta,  
Szekspir w Goethego,  
*być albo nie być*  
*w pantha rei,*  
wszystko się przenika,  
zanika,  
odradza,  
powtarza  
w mocnym uścisku,  
jak Małgorzata z Faustem,  
jak Leda z łabędziem.

## Jasność dnia

Faust był lubieżnym smakoszem życia,  
koneserem malarstwa, wykwintnego jądła,  
zasłuchanym w muzyce melancholikiem,  
który na upływ czasu i jazgot świata patrzył  
poprzez amfilady sal w Prado, Luwrze, Albertinie,  
Musée d'Orsay i innych galeriach świata,  
ale równie dobrze w ogrodzie botanicznym  
potrafił umierać ze wzruszenia nad listkiem miłorzębu lub  
pierwszym kwietniowym pierwiosnkiem.

Jednak w gradacji zachwyków Faust  
najwyżej stawiał jasność dnia; ach, jak ją nazwać,  
by przekroczyć to, co jest zwykłym światłem,  
a zaczyna być *lux mundi* lub *lux animae*, wdziera się w nas  
wszystkimi porami skóry i rozpromienia  
od wewnątrz.

Ta jasność zdarza się tylko wiosną, i to nie  
każdego roku, powietrze wtedy musi być aksamitne  
i przepojone lekkim chłodem, rześkie i przeźroczyste jak woda  
w alpejskim strumyku, powinno swą czystością hipnotyzować  
niczym szum fontanny w parku zdrojowym w Baden-Baden,  
ta jasność wisiała między niebem a drzewami Powązek  
dnia siedemnastego kwietnia dwa tysiące siódmego roku,  
kiedy chowaliśmy Piotra Kuncewicza,  
słońce odprowadzało go tak jaskrawe, jakby przyświecało  
samemu sobie w tym mroku.

Ta jasność płynie z góry albo z myślenia o strukturze kryształu,  
jest lekko błękitnawa, światło sączy się przez nią  
wszystkimi barwami tęczy i wypływa blade jak twarz topielicy,  
fiolet pojawia się potem,  
kiedy myślimy o tym, kiedy już schodzimy w głąb dnia,  
zamykają się za nami drzwi Prado, Luwru, Albertiny, Musée d'Orsay  
i innych galerii świata, otwierają się groby  
głębokie i ciemne jak rów mariański,  
gdzie nie ma listka miłorzębu  
i o pierwiosnku nikt już nie pamięta.

## Ostatnia nadzieja

Kiedy stanąłem naprzeciw Margonia,  
oko w oko z jego zbroją z szyszkowych łusek,  
ziemia poruszyła się i ocean zieleni zaczął kołysać horyzontem,  
zza którego wynurzały się maszty świerków  
roztrącane kolejnymi falami pejzażu i obnażały nagie przestrzenie pól;  
tutaj zielen dzieliła się na odcień głębokiej ciemności,  
w który można zanurzać oczy bez dna,  
gdzie indziej obraz ociekał seledynami, miejscami niemal przezroczystymi,  
miejscami w kolorze jasnej pistacji lub młodego świerszcza,  
zboża dobiegające swego żniwnego wyroku chyliły się ku ziemi  
pod ciężarem kłosów, brzozy pokładały się jak wyuzdane odaliski,  
na stromych brzegach wądołów poziomki wychylały się spoza żaluzji listków  
i dzikie czereśnie kusily jak usta kobiety.

Wszystko tu zlewało się w Jej krajobraz.

Pagórki, pagórki, pagórki;  
szedłem *skacząc po górach, przeskakując pagórki,*  
włosy Małgorzaty jak czarna firana oddzielały mnie od świata,  
jej oczy pobłyskiwały w gąbczastej zieleni niczym ślepia wilczycy  
wypijającej pejzaż z dolin; warczała cicho, gdy chciałem oprzeć ją o brzozę,  
wbijała pazury w beskid moich myśli i uciekała jak opętana przez wykroty  
pól, dukty lasów, zasięki dzikiego bzu i głogów,  
którymi płonęła moja ostatnia nadzieja.

Spod choinki wydobywał się ryk zabitego jelenia,  
grzął w moim gardle i zastygał jak kula słońca czerwona od wysiłku,  
poparzone słowa cofały się w głąb sensów, pejzaż przysiadł cichutko,  
aby nie rzucić się w oczy, udawał zagubionego w przestrzeni świerszcza  
i tylko Margoń wpatrywał się w nas zdumiony,  
tak jak my w niego.

## **Kantata samobójcza**

Pejzaż był dookolny,  
z nagła ruszył na mnie jak ciężka jazda pod Wiedniem,  
uszy rozsadzał mi tętent zieleni, w oczy wdarła się jasność dnia  
(nigdy nie umiałem jej opisać, teraz tym bardziej),  
chorągwie drzew zaczęły kroczyć z szumem na ustach  
(na ich czele szedł Hasior),  
cirrusy galopowały po niebie, chłostając błękit pierzastymi pejczami,  
ptaki cięły bezkres szabelkami skrzydeł,  
z ich gardziołków wydobywała się bogurodzica  
i wszystkie inne hymny świata sławiące boga i wolność.  
Wiatr dał w żagle radości i niczego nie łamał,  
jego siła wnikała we wszystko, co owiewał,  
wszelka zwierzyna drobna (zaskrońce, myszy, wiewiórki)  
wychodziła na światło dzienne słuchać kantaty stworzenia.

Razem oglądaliśmy ten teatr w blasku wysokiego słońca  
za naszymi plecami po kolejnej samotnej nocy,  
gwiazdy trupio pobladłe spadały na łeb na szyję,  
na nas, na obraz,  
na podobieństwo,  
na poplątanie zmysłów, zapatrzenie w chwilę,  
zasłuchanie w szmer ziemi, lasu i nieba.

Nozdrza jak chrapy godującego jelenia wciągały zapach beskidu;  
odurzenie, odurzenie, odurzenie...

Byle tylko nie obudzić się z tego snu,  
nie stanąć na równe nogi,  
nie opuścić Małgorzaty,  
nie zatrzasać za sobą drzwi pejzażu,  
nie dać się zepchnąć do miasta,  
nie dać powodu, by z palców  
skrwawionych sokiem dzikich czereśni  
spłynęła ostatnia kropla  
życia.

## Jej przejrzystość

To nie są Alpy w Splügen,  
to nie kojarzy się z Ałtajem, Andami,  
ani nawet z górami Schwarzwaldy;

Małgorzata  
kąpie się o świcie w Mochnacze,  
całuje świerki na Jaworzynce,  
w Niemcowej czyta dziadkowi Buczkowi wczorajszą gazetę,  
w Podlipiu wita się z pasieką,  
nad Wierchomlą zawisa obłokiem tutejszości.

Gdy słońce,  
wszystkie okna Małgorzaty otwierają się na oścież,  
wychyla się z nich góralka i woła  
ciemnozielony pejzaż.

Wtedy z gór zaczynają schodzić lasy i zwierzęta,  
łąki i przydrożne kapliczki,  
chrystusy frasobliwe,  
kąkole, chabry, kostrzewy,  
żuki i jaszczurki;

owce dzwonią na mszę,  
świerszcze grają na *ave*.

I ja schodzę z gór,  
niosę w oczach jej przejrzystość.  
w ustach – swój mroczny erotyk.

## Pożar

Nad ranem rozległy się dzwony,  
to Małgorzata wzywała mnie na mszę swojego ciała,  
więc przyklęknąłem za jej uchem  
i wielokrotnie brałem je jak komunię;  
rozpływało się w ustach niczym opłatek,  
z każdym pocałunkiem czułem rosnące sacrum rozkoszy,  
a potem schodziłem niżej, brnąc przez łąki policzków  
do źródelka ust, tam ugasiwszy pragnienie (zdawało się że na długo,  
a tylko na moment, na mgnienie, na sekundę)  
staczałem się po kolumnie szyi, którą Małgorzata z lubością  
oddawała mi na ścieście, więc topór zapalczywości spadał wielokrotnie  
na te marmury i tępił się o własne nienasycenie.

Długo dyszałem skulony w niecce jej obojczyka, moja warga drżała jak  
złękniony zając, który umknął lisom lub zakopał się w ziemi przed burzą.

Po chwili zwabiła mnie w swoje beskidzkie pagórki,  
po lewej stronie był Margoń, po prawej Sowina,  
ich wierzchołki twardniały w moich palcach, pąsowiały jak lipcowe poziomki,  
zaczepiały mnie kusząco jak orzechy laskowe,  
które w tej okolicy są nasączone kokosowym mleczkiem snu...

... i uciekałem niżej z tej stromizny, by uratować zawrót głowy,  
poczuć się pewnie na równinie brzucha, ale ona nie dawała ani wytchnienia,  
ani chłodu; od południa biła łuna pożaru, Małgorzata wzywała mnie w płonący  
kościół swoich ud – wdarłem się tam ustami,  
ale różowe sklepienie stało już w ogniu,  
jęzory płomieni lizały moje łaknienie,  
obracały je w popiół.

Leżę teraz ze spieczonymi wargami,  
patrzę w sufit i piszę ten wiersz;  
za horyzontem mego snu opadają dymy,  
zgliszczą żarzą się jeszcze, Małgorzata wzdycha,  
przeciąga się rozkosznie,  
może już wie, że pożar musi być wieczny,  
aby studził chłód niespełnienia;  
może już wie, że trzeba wejść w ten ogień,  
aby nie spłonąć od mrozu.

## **Czy ta sarna biegnie?**

Nie umiałem już wytrzymać zbyt blisko  
tego pożaru serca, łuna paliła czoło,  
żar wysuszał usta,  
wyszedłem stamtąd  
z poparzonymi rękoma, opalonymi brwiami,  
twarzą rozpaloną jak czerwona tarcza słońca  
lub wewnątrz ogniska.

Bąłem się,  
by Małgorzata nie runęła,  
podtrzymywałem ją do końca,  
gasilem;

teraz odpoczywamy  
w cieniu doznanej przygody.

Hen, w dali,  
płoną sztandary Hasiora;  
bije od nich łuna naszej młodości zarzuconej,  
naszej miłości o oczach zabitej sarny,

ale ta sarna biegnie jeszcze w pamięci,  
jeszcze nie wie, że padła.



## Zapowiedzi

Tak, Małgorzato,  
zostałem więźniem biblioteki,  
ach, co ja mówię, jakim więźniem,  
raczej od kiedy się w niej zamknąłem,  
otworzyłem okna na świat, widzę dopiero teraz  
przestwór, który ogarnia ziemię i ziemię,  
która odpycha gwiazdy, widzę nieskończoność  
pólek z książkami, nieskończoność świata, który  
po przewróceniu każdej stronicy otwiera się na nowo  
na następnej, zamyka i otwiera, zamyka i otwiera,  
jakby przezroczyście przestworza przenikały się bez końca  
w amfiladzie kosmosu prowadząc nas tam, dokąd idziemy.

Biorę księgę do rąk i opuszkami palców wodzę po jej grzbiecie,  
czuję jak zaczynasz drżeć, jak wzdragasz się przed otwarciem,  
lekką przewracam pergamin twojej skóry jak stronicę dnia, która rozplywa się  
w ciemnościach, tam gdzie kosmyk twoich czarnych włosów  
jest burzanem kosmosu, teraz będę zaczytywał literka po literce  
każdy puls andromedy z konstelacji pegaza,  
to stamtąd przyszłaś rozebrana z mitów i brokatów,  
stałaś mi się Kobieta chociaż Księżą.

Czytam cię Małgorzato wszystkimi palcami,  
taka ciemność, choć wybuchają gwiazdy  
i spadają ciągnąc za sobą ognie słonecznych włócznie.

Zamknijmy się w bibliotece,  
tu nie dojdzie nas odgłos katastrofy,  
świat się znowu zawali, my znowu przetrwamy,  
pot naszej miłości spadnie deszczem na pola,  
wstaną kostrzewy, nawłocie, i zboża,  
wstaną z nas Uprawy,  
zapadną się Nicości.

Przyjdzie ksiądz Twardowski  
i da nam ślub pod baldachimem  
nowego dnia.

## **Faust pisze do Małgorzaty**

Małgorzato,  
dzisiaj w nocy  
aż do białego świtu  
tarzałem się w twoich włosach  
jak źrebak w zielonej trawie.

Rano obudziłem się rześki i silny,  
ból w kościach ustąpił,  
mięśnie przeżyły się  
i pulsowały pod napiętą skórą,  
w lustrze zobaczyłem siebie  
sprzed trzydziestu lat.

Może to twoja młodość  
pomyliła nasze ciała?

Dziękuję ci za tę chwilę złudzenia,  
jednak muszę już iść, młodość zostawiam tobie.

Któż by mnie poznał ze starych przyjaciół,  
gdybym przestał klekotać jak rozlatujący się welocyped  
lub skrzypiec niczym rozeschnięta ośka u karety,

któż by powiedział:  
o, idzie stary Faust  
jakże on się trzyma!

## **Faust, Małgorzata i fiołki**

Faust wietrzył wiosnę.

Na niskich stokach Tyrolu  
krokusy wychylały swe pyszczki,  
w podcieniach Schwarzwaldu  
fiołki sposobiły się do pokazu mody.

Małgorzata wtedy jeszcze nie kochała,  
jeszcze nie wiosniała jej biodra,  
nie przebiśnieżyły się jej piersi,  
wiosna odchodziła już na drugą półkulę świata,  
a pościel Małgorzaty  
była zimna jak jezior zlodowaciałego śniegu  
schodzący z wysokich Alp.

Faustowi z samczej oskomy aż siniąły trzewia,  
ich fiolet zalewał wilgotny brąz wątroby,  
usta miały kolor ciemnych krokusów,  
oczy zachodziły liliową zaćmą,  
z płuc odrywały się wiśniowe  
wykrztusiny.

Tak,  
niezakwitłość Małgorzaty  
wykwitała siniakami na oczekiwaniu Fausta;

fiołkowej finezji było w tym tyle  
co w wytłoczynach z porzeczkowego wina,  
w nich zataczał się pijany mężczyzna  
i pytał, którądy na Sankt Pauli.

## Droga do Wiednia

Tego majowego poranka zajechał powóz  
i Faust z Małgorzatą usadowili się na kanapie,  
patrzac jak ich kufry lądują na dachu pojazdu,  
potem lekkie szarpnięcie i droga na wschód  
zaczęła odwijac się jak rolka z filmową taśmą  
(co wynaleziono dopiero czterysta lat później, ale przecież  
wszystko ma swój początek nie w faktach, lecz w ideach).

Ze Staufen do Wien było pięć dni jazdy, czyli  
podskakiwania na wybojach,  
pojenia koni w przydrożnych korytach,  
jedzenia w tanich oberżach i przysypiania  
na niewygodnej ławce karety lub w gasthausach  
rozsianych po drodze.

Oboje jechali gdzie indziej.

Ona chciała dotknąć pępka Europy, zobaczyć szaty  
wiedeńskich mieszczek, przejść się po promenadzie nad Dunajem  
i zamoczyć koniuszki palców w kamiennej chrzcielnicy Stephansdom,  
o którego koronkowych ścianach wieść docierała aż do Renu,  
jak i o licznych heurigenach na skraju Wienerwaldu,  
gdzie ponoć wino prześcigało mozelskie aromaty;  
tak, popatrzeć na inne życie, na innych mężczyzn, na inne kobiety  
to tak jakby odbyć drogę na skraj sennej zagadki.

On jechał w głąb siebie.

Każdy wykrot drogi, każdy podskok koła na kamieniu  
to było liczenie niespełnień; życie terkotało  
jak projektor filmowy w starym kinie, zapach spoconej końskiej  
sierści, świst bata, przekleństwa woźniców, cały ten jazz  
grał mu w uszach jak urwana melodia przeszłości.  
Dłoń Małgorzaty podskakiwała w jego dłoni, a może to serce  
obijało się między gardłem a żołądkiem, może to całe życie  
chciało się wyrwać na zewnątrz, ale jak tu się rozstać, kiedy  
ona jedzie do nieba, jak tu skręcać w infernum,  
kiedy ona odwija drogę ku nadziei;

więc jeszcze krok  
w stronę idei, wbrew faktom, wbrew wszystkiemu.

## Godzinki księcia de Berry

Początek piętnastego wieku,  
książę Jean de Berry zamówił  
u Paula, Hermana i Jeana, bracia Limburgów z Flandrii,  
kalendarz do psalterzowych godzinek.  
Artyści wykonali kolorowe miniatury  
zatykające swą urodą dech w piersiach;

po jednej na każdy miesiąc.

Grudzień –

w grudniu widzimy trzech pasterzy stojących nad sforą psów,  
która na skraju podmiejskiego lasu dopadła dzikiego zwierza;  
ofiary niemal nie można dostrzec pod kłębowiskiem psich torsów.

Zima musiała być ciepła, nie ma bowiem śniegu,  
a na drzewach złocą się liście – relikty minionej jesieni.

Za tym laskiem zaczyna się baśń:  
z ziemi wyrastają wieżowce piękne jak na Ursynowie  
lub na paryskich osiedlach Rive Gauche,  
dwudziesty pierwszy wiek widziany z perspektywy  
tysiąc czterysta dziesiątego roku,  
gotycki surrealizm  
trzech braci, którzy chcieli przeskoczyć czas.

Sześćset lat później,  
w dwutysięcznym piątym roku,  
czterdzieści kilometrów na północ od Paryża,  
w restauracji La Capitaneira w zamku Chantilly,  
tam, gdzie znajduje się kopia sztychów Paula, Hermana i Jeana,  
Brazylijczyk Ronaldo wydał weselne przyjęcie  
na dwieście pięćdziesiąt osób,  
za które zapłacił pięćdziesiąt tysięcy euro.  
Postmodernistyczny surrealizm  
piłkarza, który chciał cofnąć epokę.

W czasach Fausta było to niemożliwe;  
baśń kupowało się u artystów,  
u restauratorów – zaledwie *vol au vent* z pulardy  
za ćwierć denara lub jednego liwra.

## Myth must go on

W restauracji Boheme w Wiedniu,  
przy Spittelberggasse 19,  
za plecami Małgorzaty nagle ukazał się Faust,  
a ściślej: obramowany folder operowy z inscenizacji *Fausta*  
Gounoda w Metropolitan w dniu 24 marca roku 1991;  
dyrygował sam James Levine,  
w rolach starca i młódki obsadzono Alfredo Krausa i Mirellę Freni,  
natomiast partie Mefisia śpiewał wielki Mikołaj Giaurow.

Jadłem w Boheme wiener schnitzel, kiedy nagle zauważyłem  
przed sobą, na ścianie, ten folder (restauracja propaguje muzykę poważną  
i cała roi się od fotosów i folderów oper i ich gwiazd,  
a z głośników płyną cicho najpiękniejsze arie świata)  
i znowu oko w oko zetknąłem się z Faustem,  
wysuwał się zza głowy Małgorzaty, która siedziała naprzeciw mnie  
i studiowała partyturę sałatki z mozarellą.

Ach, jakież to wszystko piękne i tajemnicze, myślałem sobie w duszy  
i mruczałem w głąb siebie arię Siébela *kwiatki powiedzcie jej*  
*że kocham ją*, tam na folderze śpiewał ją Frederic von Stade,  
a tutaj ja wplątany w całą tę sytuację, która ciągnie się od wieków,  
przechodzi z mężczyzny na mężczyznę (rola Małgorzaty  
jest zawsze obsadzana przez statystki) i tylko Mefisio ten sam,  
od wieków nie starzeje się, jego cel i styl życia są niezmiennie,  
że pozazdrościć.

Przez kogo zostałem wepchnięty na tę scenę,  
czyja ręka namaściła mnie faustowską udreńką,  
kto wybierając dla mnie Małgorzatę, wiedział,  
że właśnie ta dziewczyna jest zdolna mnie uwieść,  
dlaczego akurat tego dnia ataki bólów paraliżowały moje nogi  
i pozbawiały resztek młodzieńczej lekkości?  
(nawet wiener schnitzel był w tym menu trafionym wabikiem).

Może to przeznaczenie, bowiem nawet przypadek  
jest wskazanym przez loterię wyborem, jest naznaczeniem,  
może więc zostałem wciągnięty do tej wiecznej trupy artystów,  
którzy chcą wyśpiewać głód młodości  
i wieczne łaknienie miłości?

A dlaczegoż by nie –

*myth must go on*, trzeba go podsycać,  
tylko czy Małgorzata to zrozumie,  
czy ulegnie roli?

## Powrót z Wiednia

Jutro, Małgorzato, wracamy do Staufen,  
dosyć już tego jazgotu wielkiego miasta,  
pięknych pałaców, powozów, parków tonących w kwiatach,  
lepszego życia, które – jak zwykle – omija nas;

secesja jest tylko dekoracją,  
ale jeśli idzie o złudzenie piękna – tkwi w nas,  
musimy jej chcieć, musimy zamykać oczy na prawdę  
i hodować w sobie te złote listki zachwyty,  
i pokrywać nimi dach wyobraźni,  
pod nim dopiero może zdarzyć się coś,  
na co czekaliśmy całe życie.

Trzeba poddać się nurtowi narkotycznej rzeki marzenia,  
dać się unieść ekstazie jak kobieta i mężczyzna,  
wejść w obraz Gustava Klimta i zastygnąć  
w natchnieniu namiętności,  
zamknąć oczy i dać się porwać ustom,  
bo oczy prowadzą do rzeczy, podczas gdy usta – w smaki,  
jakich domaga się istnienie.

Jestem głodny ciebie, Małgorzato,  
to mnie osłabia, przynosi zwiady i majaki,  
moją secesję zakłóca nie nadmiar baroku,  
lecz jego niedosyt,  
nadstawiasz ucho na te wiersze, ale nie otwierasz muszli,  
w której zakolach chcą się ułożyć kocięta mego spełnienia,  
warczysz na nie zbyt często, ty suko,

więc wracajmy czym prędzej do Staufen,  
zgubmy po drodze te miejsca,  
do których nie dojechaliliśmy.



## Androgen

W nocy z 2 na 3 czerwca Faust pędził autostradą,  
na siedzeniu obok niego drzemała Małgorzata,  
a w zasadzie nie drzemała, tylko zamknęła się w sobie,  
żeby nie słyszeć monologu frustrata.  
Faust wykrzykiwał jej swoją samotność,  
łaknienie jej ciała, mit zjednoczenia,  
opowiadał o łagodnym falowaniu wód płodowych,  
których Małgorzata strzegła Scyllą lewego i Charybdą prawego uda,  
i tam roztrzaskiwała łódeczki jego starań  
o ostre skały klifu.

A przecież to właśnie tam jest odwieczna prakołyńska mężczyzn;  
jak węgorze pną się w górę, by powrócić do akwenu płodności,  
do źródła wiecznych narodzin;  
tam kobiety skrywają gawrę macierzyństwa,  
kołyszą mężczyzn w swoich biodrach,  
czują, jak w ich brzuchach kłują się mali chłopcy  
i wielcy herosi.

Droga huczała sztormem, za szybami auta  
gęstniały głębiny nocy,  
autostradowe bramki opłat wyrastały jak wodospady,  
które trzeba pokonać i dalej, dalej przed siebie,  
pod prąd, w tym monologu zmartwychwstania,  
w porywie androgenu, w gorączce Morza Sargassowego,  
w nieustającym żeglowaniu kapitana Van der Deckena,  
w karawanach beduinów, fatamorganach szczęścia,  
korytarzach ślepych wiatrów,  
rykowiskach danieli i deltach ptasich godów,  
łąkach pylących trawami,  
w zaciśniętą cieśninę jej ud, za którą otwiera się  
bezmiar istnienia.

... ale Małgorzata spała.  
czas mijał, droga biegła,  
Faust tonął, świat się kurczył,  
sprawy skazane na siebie rozplýwały się  
w bryzie niespójności...

## Sztuka życia

*Mądrość jest nędznym ogryzkiem w sztuce życia,  
sztuka jest utrefioną kurtyzaną mądrości  
i tylko życie,  
nagie życie  
warte jest prawdziwego grzechu,  
buntu,  
szaleństwa.*

## **Faust rozmawia z lustrem**

Dobiegam sześćdziesiątki,  
jestem zmęczony, choć to była chwila,  
błyskawica, która poraziła oczy.

Wszyscy mają mi za złe, że podpisałem zgodę,  
ale jakież to ma znaczenie wobec szansy, jaka została mi dana,  
wszyscy wyrzucają mi Małgorzatę,  
durnie!,  
przecież chodziło o coś ważniejszego,  
grzebałem bez ustanku w ziemi i w chmurach, szukałem  
prawdy, która umyka lunetom,  
chciałem złapać w jeden worek duszę świata i duszę boga,  
dziś potrząsam pustym płótnem bez kanwy,  
chciałem odnaleźć kamień filozoficzny –  
wbił mi się w rękę ostry żwirek zwątpienia.

Po Małgorzacie zostało zawirowanie powietrza;  
miałem osadzić nasz czas w miejscu, jak się osadza i kulbaczy konia,  
chwila zdawała się piękna, ale dotkliwie mnie pokopala  
i pierzchła jak trąba powietrzna,  
zostały po niej ruiny mojej twarzy  
pooranej wawozami niewiary i cynizmu, z oczodołami bez iskry  
i grubą zmarszczką zwątpienia przecinającą czoło  
jak ślad po siekierze.

Czy coś się z tego ostało?

Chyba tylko okruch jej ciepła na prześcieradle,  
ale i to mi się zdaje, bo kiedy sięgam tam ręką, nic nie czuję,  
zawsządobiega złośliwy rechot samotności,  
chimery kąsają mnie po palcach,  
godziny zamieniają się w godzille,

a jednak nie żal mi kamienia;  
żał mi kamyka, który Małgorzata  
wyjęła kiedyś z sandała i wrzuciła do studni,  
dziś ściszałbym go w dłoni, ten jedyny dowód, że była,  
dziś bym się w nim zasklepił  
na wieczność.

Jeśli wieczność istnieje.

## **Rozmowa Fausta z Bogiem**

Od kilku dni jestem sam;  
cieszę się, że porobię porządki,  
pokładam książki, uporządkuję listy,  
przejrzę sprawy do załatwienia,  
pochodzę trochę po świeżym powietrzu  
z głową zadartą do góry.

Czy tam, w chmurach, mieszka jeszcze On;  
może uda się nam porozmawiać o wspólnych sprawach?

Czy wspomnieć Mu o Małgorzacie,  
czy to jest także jego sprawa?  
Mógłby się obruszyć, pogrozić mi palcem,  
wyszarpać za ucho  
i zawołać z góry: ej, Fauście, zamknij się lepiej  
w swojej pracowni, szukaj  
filozoficznego kamienia,  
który wypadł mi z ręki nad jeziorem Genezaret,  
skąd przedrajskie pterodaktyle  
uniosły go w Nieznane.

A ja bym Mu wtedy odpowiedział:  
ej, Boże, po co Ci ten kamień,  
i tak idziemy na dno,  
i tam się wszystkiego  
dowiemy,

bo właśnie tam  
jest Nieznane.

## **Druga rozmowa z Bogiem**

Herr Gott,  
pora na kilka słów prawdy,  
mówię w imieniu tych, którzy oddali Ci godziny swego żywota,  
pokoleniami leżeli krzyżem na Twoich zimnych posadzkach,  
karmili armię Twoich ziemskich siepaczy i agitatorów,  
i ze zgorszeniem patrzyli na ich dawne kruczaty, stosy,  
których szloch było słychać w Auschwitz,  
których swąd spowija do dzisiaj ranę pamięci  
... i ten chichot odwiecznych monachomachii wciąż gorszący  
biednych i prostych.

Popełniłeś błąd, pozwalając na wszystko,  
patrząc ze swej wyżyny na ludzkie colosseum  
z uśmiechem stoika, może nawet cynika,  
także despoty (a niby kto nie tolerował innych bogów nad sobą?).

Wolność? Wolnością nazwałeś wolność zabijania,  
wywyższania się, nienawiści, egoizmu?

Kazałeś wierzyć w swoje Królestwo na Ziemi?  
I to ma być Królestwo?

Kazałeś kochać siebie bezwarunkowo,  
wpatrywać się w Twój obraz i za wszystko dziękować,  
dziękować, dziękować.

A ten kit z miłosierdziem wciskany od wieków?

Przyznaję: była szansa;  
raz jeden, kiedy przysłałeś Syna,  
ale i wtedy ważniejszy okazał się Twój eksperyment badawczy  
niż wypuszczenie Dobra z niebieskiej klatki dogmatów.

Szkoda gadać, kończę, widzę, że śpisz jak zwykle...  
Kocham cię, Boże, bez Ciebie jestem nikim,  
dlatego odpuszczam ci Twoje winy.

Idź z sobą,  
ale podaj rękę.

## **Faust pisze do Kolumba**

Ciało jej – Ameryka, piersi – Kalifornia,  
pośladków dziki kanion niczym Colorado,  
ud pasma pieści passat, a jego symfonia  
jak El Niño rozgrzewa bizonów mych stado.

Krzysztofie, mój rywalu, pozywasz mnie w szranki,  
więc wybieram broń twoją, porywczą fregatę,  
pościgajmy się tedy, gdzie morskie bałwanki  
baraszkują z delfinów radosnym sabatem.

Twoja Santa Maria zachwyca młodością,  
smagłym profilem burty i masztu filarem,  
moja Santa Utopia cierpi na ból w kościach  
i walczy coraz słabiej z żywiołu koszmarem.

Wiem, że dobijesz pierwszy do jej stromych brzegów,  
wiem, że porzecz zatkniesz na wzniesieniu jej łona,  
lecz uważaj, bo zanim wypchniesz mnie z szeregu  
zwycięży ma cierpliwość, a twa krzepkość skona.

Wezmę ją więc w ramiona i uniosę w nicość,  
że będziesz jak Orfeusz brnął w obce zaświaty,  
a my już poza czasem i światłem. Na litość!,  
albo daj jej coś więcej lub przynieś mi wiatyk...

## Faust pisze do Odysa

Uważaj na wszystko, co wabi i strzeż się Małgorzaty;  
to ona była wszędzie, w każdej twej kipieli, w oku huraganu,  
w zewie syren, zapachu lotosów,  
igraszkach Eola łamiących maszty okrętów,  
w głowie Polifema, w vaginie Circe podstępnej jak dół wilczy  
i w rumieńcu Kalipso przypominającym pomarańczowy łeb słońca,  
wtulony w obojczyki dziewcząt.

Gdzie ona, tam odwieczna sztuczka wszystkich samic,  
feromony, motyle rzęs, różowe niebo ust, huśtawka bioder,  
kuszące żarna pośladek, loczek za uchem  
tańczący jak Mata Hari lub Maja Plisiecka,  
spojrzenia i zapachy, które odbierają rozum.

Małgorzata to grząskie bagno, jądro pożogi,  
zapadnia szubienicy albo cyklon B,  
wiedźma z Makbeta owiana oparami chanel nr 5  
lub narkotycznym fluidem poison,  
femina fatalna wykradająca się w nocy  
z lassem na mężczyzn,  
z nożem na wieprze,  
wamp idący przez wieki do Wielkiego Imperium Amazonek,  
wysysający każdą kroplę spermy i wyrzucający męskie ścierwa  
na wysypisko głupoty i pożądania.

Tak, Odysie, trzymaj się Penelopy,  
ona zrobi ci szalik na drutach, rękawiczki, ugotuje zupę,  
natrze bolące plecy olejkami, nogi otuli kocem  
w październikowe świty,  
dołoży do herbaty łyżkę spadziowego miodu.

Pamiętaj, kobieta skromna i cicha jest twoim ogniskiem;  
na balu nimf i elfów nogi odpadną ci prędzej niż przypuszczasz,  
bogowie zabawią się okrutnie twoim pragnieniem i zachwytem,  
Eol uniesie cię w górę i nagle przestanie dać w żagiel fascynacji –

uderzysz w ziemię głucho jak worek kartofli,  
a z twoich ust wypłynie czerwona strużka  
jej szminki i ciemna żółć istnienia,  
których w jednym niebie nie da się pomieścić

## Faust pisze do Villona

*Ha, ty starości, coś tak wczesnie  
Z nóg mnie zwałiła, ty niedobra?*

Franciszku, drogi, stary draniu,  
jesteśmy obaj jak półkule,  
gdy ja mówiłem o kochaniu,  
wodze języka popuszczając czule,  
tyś pisał zawsze o jebaniu  
i mlaskał  
jakbyś wsysał mule.

Małgośka świnia, tyś też świntuch przedni  
w bordelu, kędy macie zacne leże,  
lecz przyznam: w burdel bardziej wierzę  
niż w trubadurów stek westchnień i bredni,

bo kiedy strącić z twych łajdackich pieśni  
wilgoć rynsztoków i cień szubienicy,  
tośmy tej samej są oblubienicy  
podnóżki jako dwaj bracia rówieśni

i takież umoczeni w jej lepkich posokach  
od łysej głowy aż po siwość brzucha,  
tak samo trzepoczący jak złowiona mucha  
w pajęczej sieci – w miłosnych podskokach

*item*, Franciszku, trwamy tu jak drwale,  
one Małgośki przechodzą przed nami,  
mijają mrozem ścięte i nikną z latami,  
znikomieją im cycki, rzedną zęby ale

*Nie pytaj, kędy hoże dziewczki  
Idą stąd y na iakie brzegi,  
Iżbyś nie wspomniał tej przyśpiewki.  
Ach gdzież są niegdysiejsze śniegi!*



## Faust pisze do Petrarcki

*... dzień jest krótszy, a lato mniej gorące,  
gdy duża część mego życia leży poza mną...*  
Wergiliusz

Dzień dobry, Francesco,  
donoszą mi, że mało cię widać,  
albo chodzisz po odludnych łąkach,  
albo się kryjesz w niszach św. Klary;

ciepło i chłód  
gnębią cię na przemian?

Daj spokój, ona już nie żyje,  
skubiesz z troski brodę,  
że wygląda jak kuper gołębia wystający  
z bulgoczącego rosołu;  
ona zawsze była zjawą,  
majaczeniem żeglarza zdychającego  
setki mil od lądu,  
jak mogłeś przez dwadzieścia lat stać za plecami kobiety,  
łkać i tłuc pięściami w głuche na wszystko niebo?  
Kobietę się bierze,  
kobietę się zdobywa,  
ja – gdyby przyszło co do czego – podpiszę pakt  
choćby z czartem i wezmę co swoje;  
życie ucieka,  
skóra się zmienia w jaszczurczą łuskę,  
spójrz na swoje dłonie – teraz już za późno  
byś dotykał alabastru jej ud  
i loczek na jej karku smakował obleśnymi ustami,  
nawet w skrytości nie myśl o jej  
biodrach –  
zachłyśniesz się zachwytem i skonasz.

Mnie też się nie udało,  
ten kundel łązi za mną i czyha na duszę,  
czy wiesz, co to znaczy żyć pod zastaw?  
Ale czy jest coś ważniejszego niż zatrzymać czas? –  
tu nie idzie o wieczność,  
z której być może nic już nie pojmiemy,  
która nas przerośnie i będzie się wlokła

jak droga Columbusa do Indii,  
tu idzie o błysk oczu, lekkość kroku, żar w lędźwiach,  
o jasność rozumu i nieustanne *carpe diem*,  
o wigor ciała, który jest ojcem radości  
i świeżość umysłu, która jest matką zachwytu.

Zrywam kwiatki dla Małgorzaty  
i czuję się jak żreback wbiegający lekko  
na strome zbocze wzgórza,  
a ty?,  
ty, molu książkowy,  
słaniający się od wiecznej udreki?,  
weź się w garść, Francesco,  
klepnij tę swoją Laurę w zadek,  
przyciśnij do zimnej ściany gdzieś w bocznej nawie  
i na oczach Boga  
złącz się – jak On przykazał – z niewiastą.

Mądrość jest nędznym ogryzkiem w sztuce życia,  
sztuka jest utrefioną kurtyzaną mądrości  
i tylko życie,  
nagie życie  
warte jest prawdziwego grzechu,  
buntu,  
szaleństwa.

## **Faust pisze do Cervantesa**

Hm, podziwiam cię Miquelu,  
wymyśliłeś tego idiotę,  
który nie odróżnia zwykłego młyna na wzgórzu  
od kamiennych żaren losu,  
a mimo to obdarzyłeś go dostojnością  
i patosem milczącej charyzmy.

Ja trafiłem w łapy  
Johanna Wolfganga  
i sam widzisz:  
on nie zostawia na mnie suchej nitki,  
robi ze mnie ubekę,  
starca, astmatyka,  
i wiecznie podsuwa mi tę Małgorzatę.

To czysta prowokacja.

Miquelu,  
zrób coś,  
napisz do Goethego,  
przekonaj go, że wolałbym być  
Werterem.

## Faust pisze do Goethego

Ojcze, jak rozwiążesz ten problem?  
Wiem, literatura zniesie wszystko,  
papier wytrzyma każdą furję twojej wyobraźni,  
przyptyw dobroci wobec Małgorzaty lub dorzynanie mnie  
w ubojni piekła, ale przecież chodzi także o prawdę.

Zgódźmy się, że Jej nie ma;  
została wtrącona w tę rolę, gdy miałeś atak majaków,  
myślałeś, że zakocha się w umyśle,  
chciałeś ją wzruszyć cierpieniem przemijania,  
zasadzić w jej głowie sadzonki intelektu,  
obudzić w niej Pietę, która weźmie na ręce starca i będzie się wpatrywała  
w jego siwą brodę niczym w złociste loki młodzieńca,  
będzie uwznioślona tą rolą, będzie matką profety, a jej ramiona jak łódź  
uniosą miłość, która zdaje się nieziszczalna.  
Ta miłość miała postawić Małgorzatę ponad trywialnością świata,  
wyłuskać z niego to, co niemożliwe,  
przewyciężyć dyktat natury kategorycznym imperatywem  
serca.

Chciałeś ją uwieść dla siebie moimi lędźwiami,

na szczęście w porę zauważyłem,  
że nasze role są przypisane do Mitu,  
jej młodość ma stać na straży młodości,  
moja starość ma zdychać pod płotem nadziei  
i ginąć za stereotyp starości,  
nie można odwrócić porządku, nie trzeba,  
jesteśmy tu, by pilnować kodu, by sycić przeznaczenie  
pewnością jego bytu i racji, by utrwać nie tylko pragnienie,  
ale i ból.

Jesteśmy wzorcem, drogą, drogowskazem;  
Małgorzata musi podążać w przeciwną stronę niż ja,  
ja muszę bronić ją przed sobą, iść ku krawędzi,  
starzec się tak dzielnie, że gdy w końcu wyciągnie do mnie rękę,  
napotka w przestrzeni swój najpiękniejszy wiersz  
i nigdy się nie dowie, że to ja jej go  
podrzuciłem.

## Faust pisze do Jana Sebastiana

Hej, grajku,  
patrzę co wyprawiacie,  
ty, Mozart, Adrian, Ludwig,  
i boleję, że z waszej roboty wydobywa się  
miauczący skowyt bredni.

Ja całe życie mieszam w swojej pracowni proszki i płyny,  
patrzę jak się burzą, dymią, kipią, uciekają z menzury  
jak dżin z butelki, dusza z ciała, błękit z oczu  
Małgorzaty, gdy na nią krzyczę...

Tak, to prawda, mnie też do tej pory nie udało się nic,  
co zaplanowałem czterdzieści lat temu,  
palce mam poparzone miksturami i życiem,  
a cała ta moja alchemia sprowadza się do smrodu  
siarki,

ale niespodziewanie na dnie mojej retorty  
może pojawić się złoto,  
przecież już raz Małgorzatę odkryłem w ogrodzie,  
to było tak jakby Semiramida upuściła kwiat  
w moją stronę;  
jutro mogę się potknąć o kamień filozoficzny  
i stanąć po prawicy Boga.

Ty stukasz palcem w klawisz,  
wydobywasz z pudła nędzne imitacje natury,  
dźwięki ulatują w powietrze i giną w wiecznej głuszy;  
co może znaczyć ta księga z napisem  
*Acht kleine Präludien und Fuge?*  
Wierzysz w utopię muzyki?

Prawdziwa księga nie istnieje,  
nasz los jest małym bajtem w programie Windows;  
Pan Bóg też stuka w klawisz,  
ale wtedy dzieje się ENTER.

Sztuka jeśli nawet otwiera duszę,  
zamyka rozum;

Pan Bóg w programie Windows otwiera okna,

z tych okien patrzymy na świat.

Porzuć utopię sztuki i kamforę ulotnej muzyki,  
popatrz na mnie: nawet gdy uszczypnę Małgorzatę w zadek,  
zostaje jakiś ślad.

Ślad jest najważniejszy,  
po nim pójda inni.

## Faust pisze do Leverkühna

Adrianie, mój Faustusie,  
szczęściarzu,  
papierowy kuzynie,  
przypadł ci lepszy kawałek  
tej szatańskiej sztuczki  
i pewniejszy osąd potomnych,  
bowiem podpisać cyrograf za dar talentu,  
to zupełnie inna sprawa niż dać się zaczarować  
młódce.

Sztuka – tak, tylko ona warta jest konszachtów z piekłem,  
postawienia wszystkiego ponad własne korzyści i sprawy,  
zaprzedania się dziełu, które przetrwa,  
bowiem jest bytem doskonałym,  
w którym zapisane zostały linie papilarne ludzkości  
i boska posługa natchnienia.

Nie gań mnie za Małgorzatę,  
za moją słabość do spódniczek,  
spójrz na nią jak na arcydzieło zastygłe w Naturze,  
które potrzebowało Pigmaliona,  
na jej gotycką postać,  
w której Bóg drzemie  
niczym Mit nad brzegiem Jordanu  
lub Oberon nad Avonem.

Spójrz na te wiersze, Adrianie,  
to ona szepcze mi je do ucha,  
to ona prowadzi mi rękę siejącą słowa,  
to z jej ambon ogłosiłem  
pogoń za Chwilą;

sztuka nie dzieli nas, lecz łączy;  
w twojej muzyce jest moja miłość,  
w mojej miłości są twoje nokturny,

i jeszcze jedno zapamiętaj:  
*Das Ewig-Weibliche* –  
wieczna kobiecość Małgorzaty  
jest wieczną sztuką mężczyzn.

## **Faust pisze do Tomasza Manna**

Dzisiaj listopadowe słońce  
biło w oczy i grzało jak w maju.

W Davos zapewne spędziliście większość dnia na tarasie,  
przykrywając nogi kocami  
i wystawiając twarze w stronę Weissfluh?

Zamyśliłem się  
i doszedł mnie głos Settembriniego,  
tego wiecznego idealisty;

jak długo można wysłuchiwać  
tych optymistycznych bredni?

Gruźlica świata jest nieuleczalna,  
trąd mojej duszy jest nieuleczalny,  
podagra mojej nadziei nasila się.

Mam dosyć waszych dyskusji,

jadę do Wenecji  
zobaczyć Tadzia,

potem odwiedzę was w Berghofie  
bez Małgorzaty.

Próbuję przerzucić się na chłopców,  
podobno ich powab nie budzi mistyczości  
ani syndromu niesycącego źródła  
i wszystko jest prostsze,  
nawet starość pasuje do chłopięcych wspomnień  
i zabaw pod kołdrą.



## Mistrz pisze do Fausta

Dbaj o nią, proszę, to prawdziwy skarb;  
piszę z trudem,  
reumatyzm nie pozwala mi trzymać pióra w palcach,  
tak mijają lata,  
gdyby nie ona, utraciłbym resztki wiary,  
to tylko jej gwiaździste oczy, w których bez przerwy lśni się  
wilgotna mgiełka miłości,  
podsycaly mój zapal pisania,  
to tylko ona byla moim ostatnim domniemaniem Sensu,  
to dziki niej ocalaly resztki nadwatlonych slow,  
ktorym nie dawalem juz wiary.

Ale uwazaj,  
mam dowody, ze opetal ja szatan i banda jego slugusow,  
no, wiesz, Asasello i cala ta reszta;  
ona nie ma wyjscia, chodzi na jego sznurku,  
poznasz ich po wielkim czarnym kocie  
ktory bedzie wyczynial blazenskie sztuczki (i ktorego najlepiej  
od razu kopnij w dupe, gdy sie tylko pokaże)  
lub po czaszce, z ktorej ten diabel pije ludzka krew.

To moze byc czaszka Gilgamesza, Barabasza, Yorika  
lub zolnierza zastrzelonego w Katyniu  
– Woland nie uszanuje nikogo;  
strzez sie,  
w jego orszaku ida zlodzieje i zbrodniarze,  
rajfurki i samobojcy, zdrajcy i tyrani wszechczasow –  
  
to jego ludzkość.

Owszem,  
zmartwychwstalem na moment  
dzięki czystości tej dziewczyny i wstawiennictwu proroka,  
ale i tego zaluje,  
w swiecie Wielkiego Zla kazda proba powrotu  
jest jak posypywanie ran solą;

teraz slysze, ze On kręci sie przy tobie,  
pamietaj: Malgorzata jest niewinna  
jesli zrobisz jej krzywdę,  
ja umywam ręce.

P.S. Unikaj ulicy Sadowej.

## Faust pisze do Piotra Kuncewicza

Pytasz mnie o braterstwo krwi, wspólny rytm serca,  
lęk w oczach, źródło i powód pragnienia, skowyt  
wrywający się każdej nocy w rozmowach z sufitem,  
pytasz, dlaczego na widok gładkiej skóry i rześkiego powabu  
Małgorzaty mdlejemy w środku siebie  
z zachwytu i wściekłej niemocy,  
nagle wyrasta w nas dwudziestoletni chłopiec  
biegnie ku niej i uderza głową w mur  
głuchego ciała.

Odpowiedź, Piotrze, jest prosta:  
od kiedy staliśmy się wyznawcami prawdy i piękna,  
pozyskaliśmy zdolność wzruszenia się zachodem słońca  
nad winnicami Badenii,  
zdolność zapłakania nad butwiejącym jeżem  
znalezionym w zakątku jesiennego ogrodu,  
zdolność niemego zachwytu kształtną głową flaminga,  
która nagle okazuje się dłonią tancerki sięgającej po rąbek szyfonowej kryzy,  
od kiedy zrozumieliśmy, że zrywając jabłko z jabłoni  
niszczymy wszechświat jabłka, a zjadając je  
trawimy rajski owoc i wkraczamy  
w zastygłą rzekę Mitu,  
nie mogliśmy już potem  
od tych wszystkich wielkich i małych zdarzeń  
powrócić do siebie, cieszyć się sobą, sycić  
w lustrze; nasza skóra była jak zdjęta z nosorożca,  
elephantiasis cielska raził nieociosaną bryłą,  
wszystko w nas krzychało odrażającym uwiadem  
zapomnianej młodości.

Ale byliśmy przecież już wtedy władcami królestw,  
opasłe księgi meblowały nasze wnętrza,  
ich safjan gładził bunt i obyczaj, jakie zbieraliśmy latami  
w borach żywota, świat rozsupływał przed nami swoje rozdroża,  
dorzecza wielkich mitów znajdowały ujście w deltach słów,  
legenda Europy kładła się przed nami brzuchem do góry jak potulna lwica  
i tylko jedno okazało się nieosiągalne:  
pepek Małgorzaty,  
to magiczne epicentrum świata,  
w którym chcieliśmy jak w studni Artemidy  
znaleźć cudowne orzeźwienie,

nie wiedząc, że bierze nas w swoje ręce  
zimna dawczyni nagłej śmierci, syrena faustów,  
frigida zenitu wzywająca w sam środek kipieli  
i pożerająca nas kawałek po kawałku jak harpia,  
która wyrywa rybki życia z wód płodowych  
nadziei.

Łączy nas, Piotrze, to samo,  
to samo aż do znudzenia dzieje się bez zmian,  
od praczasów, epok, pokoleń budujemy gmachy wiedzy,  
ustawiamy słowo na słowie,  
warga nam drży z przejęcia, gdy natrafiamy na samorodek  
metafory, stukaratowy symbol, kryształowe przesłanie,  
ale żaden poryw sztuki, żaden wysiłek dnia nie jest nic warty,  
jeśli pod wieczór nie możemy wrócić do łona niewiasty,  
zwinąć się w embrion, zasnąć chłopięcym snem,  
by rano obudzić się do nowego czynu.

Dlatego starzejemy się, wiotczujemy,  
ręce nam opadają,  
świat z nas odpływa,  
Małgorzaty za naszymi plecami  
kreślą sobie palcem kółka na czole  
i puszczają się z efebami,  
z którymi płodzą nowych faustów,  
a zamroczony los zatacza się od ściany do ściany  
*da capo al fine.*

## Faust pisze do Andrzeja K. Waśkiewicza

Popatrz, Andrzeju,  
ani się obejrzelśmy i już jesteśmy pokoleniem,  
które zstępuje;  
pędzą młode bizonki przez prerie IV Rzeczypospolitej,  
kiedy opadnie kurz, nie zostanie po nas śladu,  
będziemy co najwyżej depozytem  
na bibliotecznych półkach lub kwaśną  
literacką marynatą,

przeterminowaną.

Wbijaleś im do głowy Nowy Paradygmat,  
imperatyw odrodzonego brzmienia, konstrukcji i sensu,  
koncept nowego języka;

poezja musi linieć, zrzucić poroże albo pancerz,  
aby na wiosnę wyjść na wybieg Nowej Formy  
i pokazać ludziom stary świat przez lunetę innej perspektywy,  
musi sprawić, by usłyszeli świat INACZEJ,  
bo tylko to jest zastępowaniem końca początkiem.

Pamiętasz, co mówił twój mistrz:  
*świat nie jest świat się wiecznie zaczyna*  
pamiętam i twoje słowa o tym *jak się wylania*  
*pierwsze zdanie kwiatu;*

to ważne – kwiat jest gwarancją przetrwania.

Czy mamy szansę,  
*czy mógłbyś zaręczyć że będzie jutro?*

A może nie warto sobie zaprzętać tym głowy,  
przecież idzie tylko o język,  
kod rozwijający się w nieskończoność i przenoszący  
modele i formuły;

widzisz jeszcze ten obraz:  
stary, zaniedbany człowiek  
w starym, podniszczonym, czarnym płaszczu,  
znikający w dukcie ulicy Puławskiej  
to Peiper –

nauczył nas  
jak umrzeć z powodu istnienia  
i przetrwać z powodu słowa.

Ale czy mamy tę siłę głosu,  
czy pióra nasze tak lotne,  
że tworzące kolejną  
przestrzeń?

## **Faust stara się zrozumieć**

Którejś nocy Faust stanął w oknie swojej pracowni  
i wpatrując się w obroty ciał niebieskich,  
spadające gwiazdy, rozlane z Wielkiego Wozu  
mleko na drodze i sputniki okrążające Ziemię,  
jak gdyby miało to jakiś sens,  
wtedy, tak wtedy właśnie  
popadł w zwątpienie:

no bo niby jak pojąć gwiazdne wojny  
i wieczną trajektorię ich pocisków, bombardowania  
meteorów, kawalerię komet, starcia konstelacji  
z własną konsternacją, niby jak zrozumieć,  
skoro wojna rozumieć się nie musi;  
ona Toczy Się jak wpisane w porządek wszechrzeczy  
wieczne koło wszechświata, wieczny ruch  
wszechczasów, wieczny dialog wszechbogów.

Wojna linuxa z windowsem, wedla z wawelem,  
toyoty z hondą, IV RP z III RP, raka z cukrzycą,  
islamu z chrześcijaństwem, chrześcijaństwa  
z feminizmem, feminizmu z machismo,  
prozy z poezją, poezji z życiem,  
karnawału z postem.

Walki mokrych podkoszulków,  
buldogów pod dywanem,  
koncernów naftowych,  
koncernów prasowych,

pojedynek  
Apolla z Marsjaszem;

pokolenie JP II kontra pokolenie mp3;  
cywilizacja miłości przeciw cywilizacji śmierci;

wojna o Helenę, o Małgorzatę,  
o mały włos,  
o rety! Faust stara się zrozumieć,  
a gwiazdy śmieją się z niego  
i strzelają okiem.

**Faust już nie pisze...**

Tyle kartek, tyle zapisanych stronic,  
tyle zużytego inkaustu,  
piór temperowanych kozikiem i łamanych  
w zniecierpliwieniu, inkunabułów przeszukanych  
w pogoni za kamieniem, menzur i retort stłuczonych  
dla eliksiru, co do którego nie ma nawet pewności,  
czy jest możliwy...

Tyle wiary w sprawach nie do uwierzenia,  
tyle ognia w tę zimną galaktykę próżni,  
tyle potu na skroniach, mimo że nicość  
nie pozostawia żadnych złudzeń.

W mierzwie siwych włosów  
oddech Małgorzaty – młodość?  
Na minutę przed szarpnięciem sznura  
jej usta – nieśmiertelność?

O! gołębico biała wyleć z mego ciała.  
O! tętnico bijąca ustań przed wschodem słońca.

... żeby jeszcze zdążyć podrzeć wszystkie notatki,  
spalić nie dokończone księgi  
i listy przyjaciół,  
a nawet,  
a nawet z zapaloną żagwią Herostratesa  
pobiec do miejskiej księżnicy  
i ocalić ludzkość przed nieskończonym sznurem liter,  
które pełzną niczym czarne mrówki,  
niosąc plagę ułudy i jadowity  
omam wiedzy.

Tylko miłość ma jakiś sens,  
ale na poziomie ameby, komara lub rośliny;  
w piekle serca i rozumu  
zamienia się w cykutę kultury.

Umrzeć, aby już więcej nie pisać;  
zamienić się w wodę dla ameby,  
powietrze dla komara,  
próchnicę dla rośliny,  
zejść do Czystego Sensu.



## **Biedna, szczęśliwa głowa**

To mogło się zdarzyć w epoce Celtów, Wikingów, Hunów:  
błysk ciężkiego miecza i stukot głowy Fausta  
po dziedzińcu brukowanym drewnianą kostką...

Równie dobrze w epoce wypraw po złote runo,  
wojen punickich, krucjat lub konkwisty.

Najprawdopodobniej to było w dobie najazdów Dżingis-chana,  
podbojów Hannibala, Cezara, Karola Wielkiego,  
w czasach carskiej opryszczyny, Nocy Długich Noży,  
pożogi w Jedwabnem, strzałów w Katyniu, w Dallas  
lub na placu św. Piotra,  
albo podczas przekomarzania się Robespierre'a z Dantonem;  
tak, to było na pewno wtedy –  
głowy kolejnych Faustów toczyły się do kosza historii,  
cieniutkie strużki krwi wiązały się w kokardki  
na warkoczach (r)ewolucji.

I jakoś żyją oni bez głów do teraz,  
ale jak zwykle w stanie wiecznej bitwy,  
wyprawach do Werony, omdleniach Tristana,  
turniejach o pantofelek lub koronkową chustkę,  
cierpieniu Abelarda, Wertera, Oniegina,  
podbojach serc i bezhołowiowi żywota,  
o, właśnie teraz i moja głowa toczy się  
po twoim brzuchu prosto w  
termopile ud,  
na kolejne  
stracenie.

## **Mój pogrzeb**

Małgorzato, Ofelio, Lauro,  
Beatrice, Dulcyneo, Molly,  
Telimeno, Maryło, Tatiano,  
Heloizo, Izoldo, Jarosławo,  
Lukrecjo, Brunhildo, Kwiecieńko,  
Nataszo, Julio, Funny, Desdemono  
i ty, Calineczko...

jestem niewinny,  
nigdy was nie zdradziłem!

Nigdy wam nie zapomnę  
tego więzienia literatury,  
w którym dobiega moje dożywocie,  
wy podłe Horpyny,  
chore wytwory pismaków,  
nałożnice czytelników,  
moje słodkie,  
jedyne,  
miłości.

Cip, cip,  
no, chodźcie tu,  
nakarmię was ziarnem literek,  
kwoki wstrętne,  
łykowane wrony,

klaczki cudowne;

kiedy będą mnie więzli,  
chcę widzieć tylko wasze pęciny i zady,  
i czarne pióropusze przytroczone do łbów jak  
w Folie Bergère,

tylko nie chichotajcie, nie rzyjcie,  
to jedyne,  
czego bym nie zniósł  
po zamknięciu Księgi.

## Ojciec Fausta

Jak musiał się czuć ojciec Fausta,  
kiedy odebrał z rąk akuszerki  
nowo narodzonego syna, podniósł go do góry  
i oznajmił rodzinie: oto jest mój następca,  
oto on, Johann Georg\*, mój syn;

czy wiedział, że w kołysce jego wielkich dłoni  
leży przyszły kolaborant,  
leży upiór starości,  
który odda się w zastaw  
piekłu?

Jakby nie wiedział,  
że gwiazda Małgorzaty ma setki imion  
i nigdy nie spada z nieba,

że prezenty od Losu  
nigdy nie pachną siarką?

Był to rok tysiąc czterysta osiemdziesiąty;

minęły stulecia,  
ojciec Fausta nadal płodzi synów  
i wysyła ich w świat  
z dumą i nadzieją.

\*Goetheański Faust miał swego prawdziwego przodka; był nim Johann Georg Faust (1480-1540) z Badenii-Wirtembergii, mistrz czarnej magii i „wędrowny naukowiec”, autor traktatu alchemicznego *Zmuszenie piekła*, wykształcony w Heidelbergu i... Krakowie. Zginął w nie wyjaśnionych okolicznościach; jego zniekształcone zwłoki znaleziono w Oberży pod Lwem, w miejscowości Staufen, znanej do dziś jako „miasto Fausta”... W 1587 r. ukazała się rozprawka *Geschichte von Dr. Johann Fausten, dem weitteschreyten Zaubeber und Schwarzkunstler* (*Historia doktora Johanna Fausta, słynnego czarnoksiężnika i mistrza czarnej magii*), która zapoczątkowała legendę Fausta, utrwaloną przez słynne dzieło Christophera Marlowe’a *The Tragical History of Doctor Faustus* z 1588 roku. I takie były początki tego Mitu, jednego z największych w literaturze światowej...

## **Dobranoc, Fauście**

*Nie bójcie się, śmierć jest kobietą,  
przyjdzie nad ranem i wyłączy komputer.*

## **I co teraz?**

I co teraz? – zapytała Małgorzata,  
kiedy wyrzuciła mnie ze swojej poczekalni,  
pozbawiła nadziei, odarła ze złudzeń,  
zepchnęła na dno pustki, pozbawiła prawa do,  
strąciła z ostatniego szczebla,  
strzepnęła z siebie w czasie wspinaczki,  
przegoniła, wyzuła, wyzbyła,  
zastosowała najwyższą instancję odmowy,  
zatrzasnęła drzwi swojego ciała.

Poradź Edypie,  
poradź Syzyfie,  
poradź Tantalu.

Znowu razem piszemy  
ten antyczny dramat niespełnienia,  
choć żadnej tu jedności  
miejsca, akcji i czasu.

I co teraz?

Nie mam wyjścia, Małgorzato:  
Edyp nauczy mnie chodzić po omacku,  
Syzyf pchać kamień, który spada,  
Tantal – przeżyć bez krynicy twojej miłości  
i brzoskwiń twego powabu.

Nie musisz tego rozumieć,  
tak jak ja nie pojmuję banicji;

róbmy swoje: rozmijajmy się,  
może po to zetknął nas Los,  
aby badać chemię faustyzmu,

stężenie siarki  
w oparach absurdu.

## **Kwiat amarylisu**

Małgorzaty nie ma, ona mi się zdaje,  
kiedy idzie do mnie, odchylając ciemne kotary nocy,  
to nie jest ona – to moja nadzieja, to sen  
śniony od lat i kołyszący jak wody płodowe,  
kiedy pisze do mnie lub czeka na moje listy,  
to ani nie pisze, ani nie czeka – to ja rozmawiam ze swoją  
samotnością, klóczę się z nią lub spoufalam, mówię jej  
sto razy dziennie: tylko ciebie mam, ty dziwko, ty moja  
jedyna na śmierć i życie.

Kiedy Małgorzata ma łzy w oczach, widząc moje wzruszenie,  
są to wyłącznie moje łzy, które chciałbym zobaczyć,  
gdyby była obok,  
kiedy czekam na nią całymi godzinami, krążę od drzwi do okna,  
nasłuchuję kroków w nie kończącym się korytarzu  
zniecierpliwienia – ale ona nie nadchodzi, bo ktoś, kto się zdaje,  
nadchodzi nie nadchodząc, dotyka nie dotykając, obiecuje  
nie dając nadziei;  
nawet gdy Małgorzata wabi mnie między swoje uda  
i nie pozostawia żadnych wątpliwości, że jest realna,  
to tylko kwiat amarylisu rozkwita na parapecie okna,  
aby zasłonić sobą jej nieistnienie.

## Rezygnacja Fausta

Małgorzato,  
zawołałem stangreta, przydźwigałem kufry,  
spakuj swoje rzeczy, wracaj do rodzinnego domu  
albo do tego muzyka, który w Breslau,  
w tym zacnym grodzie Angelusa Silesiusa,  
spętał cię strunami swojej sztuki  
i pajęczyną nadziei w tonacji  
marcowej canzony.

Przecież widzę jak się szamoczesz  
między snem o chłopcach, ich czarnych czuprynach  
i naturalnym wdzięku młodych ogierków,  
ich barczystych ramionach i wąskich biodrach  
z wiecznie napiętymi namiotami rozporków  
a  
moją siwą głową przeciążoną tekstem i kanonem,  
którą podtrzymuję drżącymi rękoma jak gasnącą lampę,  
już tylko ona rzuca promyk ciepła  
na moje ciało pokryte odleżynami lat,  
na tę zwiędłą resztkę męskości,  
żałosną demencję Amora.

Mijamy się,  
ty biegniesz w stronę przyszłości,  
z rozwianymi włosami, w bryzie srebrnego deszczu,  
jak dziewczyny z filmów Lelouche'a,  
ja wlokę się ku przeszłości, pod rękę prowadzą mnie  
Dante i Visconti,  
mówią: powoli Fauście, powoli,  
czas już nie płynie, czas się tylko cofa;

więc biegnij,  
odwracam oczy, zaciskam wargi,  
krzyczę za tobą i połykam głos.

## Znikający punkt

Małgorzata wybiegła na tory,  
chciała zarzucić białą chustę zbawienia  
na głowę Fausta.

Nie zdążyła,  
nie umiała się zdecydować,  
była rozdarta jak Antygona  
w nie napisanym dramacie miłosnym,  
odurzona narkotykiem młodości,  
porwana wartkim prądem rzeki niosącej  
fetysze epoki,  
zakochana w poecie, gitarzyście, archeologu,  
stawiana pod przymusem wyboru  
i pręgierzem normy,  
niepewna swego instynktu,  
niepewna swego ciała,  
niepewna swojej siły,  
niepewna drogi,

niepewna, czy ta oszalała lokomotywa  
pędząca po torach  
to starość Fausta,  
czy  
znikający punkt  
jej wahania?



## **Blżej nieskończonego**

W nocnym dworcowym barze  
para młodych ludzi kochała się na wysokim stołku,  
ona siadła na jego udach i cała reszta musiała potoczyć się sama  
rozpędem instynktu i szalonej lokomotywy, która  
ruszyła w nich koło za kołem, aż nabrała szybkości,  
jakiej nie może zatrzymać żaden semafor  
opamiętania.

Obok siedzieliśmy my: Małgorzata i Faust,  
patrzyliśmy na siebie niewyspanymi oczami  
i rozmawialiśmy o naszej miłości,  
która nie może ruszyć z miejsca.

Rozumieliśmy tak samo niewiele jak ci obok,  
ale oni byli szczęśliwsi i nie mieli niczego,  
co by ich dzieliło.

Po chwili skończyli się kochać i szybko uciekli z baru  
zostawiając po sobie smutek.

Faust miał pewność, że byli blżej nieskończonego niż on,  
bo nawet najbardziej trywialna miłość w barze  
jest lepsza niż widok z niego na spleen żywota  
i bliskość skończonego.

Wziął w ręce dłonie Małgorzaty  
i wyszeptał: Gretchen, dlaczego nie umiemy się kochać?  
Dlaczego nasza lokomotywa stoi w miejscu i szłocha,  
podczas gdy inne mijają ją z gwizdem radosnej ekstazy?

Dlaczego wszystkie semafory życia zamykają nam drogę  
do nieskończoności, po której przechadza się miłość?

## **Złamane skrzydło**

Czy Małgorzata słyszała  
jak dzisiaj w nocy stałem pod jej drzwiami,  
jak wspinałem się na nią  
i spadałem kamienowany jej głuchotą?

Czy słyszała płacz Boga nade mną,  
który wychylił się zza chmur i zesłał deszcz?

Czy ten deszcz zmyje  
ślady mojej krwi na tych drzwiach?

Czy zagłuszy mój krzyk,  
który przestał się wydobywać z gardła?

Czy zagłuszy milczenie  
gorsze niż ten krzyk,  
podobne do skrzydła kraski,  
które zawisło na obrazie  
i nie jest w stanie już niczego  
poderwać do lotu?

## **Idą duszności**

Po majowej burzy wstawał świt.  
Plecami Małgorzaty nie wstrząsał już spazm płaczu,  
w szybie okna zgasły wilgotne gwiazdy jej oczu,  
ozon oczyszczenia powoli wdzierał się do izby.

Faust jednak czuł, że po tej burzy  
pogoda nigdy już nie będzie majowa.  
Szły czerwcowe duszności, żar osaczał głowę,  
na dalekich horyzontach widać już było błyskawice,  
od czasu do czasu dochodził grzmot  
rozrywającej się pustki.

Jak opowiedzieć jej zranioną samotność nocy,  
głód rąk, gorycz serca, skurcz gardła?

Jak opowiedzieć ból odtrącenia  
i miłość bez echa; słowo kocham,  
które odbija się od skały, spada w pustkę  
i daje odgłos tłuczonego szkła.

Trzeba będzie przełknąć to wszystko w milczeniu i dzielności,  
wyjść na ganek rozpaczy z uśmiechniętą twarzą  
musnąć włosy Małgorzaty ustami spierzchniętymi  
od słów, których nie dosłyszała,  
schylić się po kawałek tego szkła  
i przeciąć tętnicę  
wiosny.

## Tylko krok?

To była jedna z ostatnich zimowych nocy,  
mróz jeszcze szedł od nieba, gwiazdy świeciły  
tym przenikliwym blaskiem wszechwiedzy  
i dystansu...

Faust siedział przy komputerze, ale nie patrzył w ekran,  
tylko w tę otchłań zaczynającą się tuż za szybą;  
Małgorzata spała cicho i łagodnie  
jak sarna zastrzelona na polowaniu.

Rano powie jej, że odzyskała wolność,  
nie padła ofiarą jego pożądania.

Przecież sarna jest piękna tylko w galopie,  
kiedy nie podchodzisz do niej i patrzysz z daleka  
na doskonałość Formy

lub gdy z wysokiej ambony samotności  
obserwujesz jak na skraju lasu ociera szyję o pień sosny  
(zamknij oczy, zamień się na chwilę w ten pień, masz prawo marzyć)

albo jak zamszowymi wargami skubie  
gałązki ledwo pączkującej na przedwiośniu brzozy  
(wyobraź sobie, że jej palce badają twoje podbrzusze)...

Marzona, może pojawić się nagle;  
nie hałasuj, każda złamana gałązka może ją spłoszyć,  
każdy ruch może być źle zrozumiany,

lecz bezpieczniej nie liczyć już na nic,  
sarna podchodzi do wyciągniętej ręki od razu albo nigdy.  
Małgorzata wstanie rano samotna jak ty,  
ponieważ szuka miłości zbyt daleko, w nadziei  
jej objawienia...

Miłość się nie objawia, miłość się oznajmia,  
oczekiwana staje się Godotem,  
miłość karmi się mięsem dotyku,  
samotność karmi lękiem dotyku,

a czas ucieka, mgła się podnosi,

wstaje kolejny dzień,  
może wystarczy zrobić tylko krok  
w stronę tego wiersza?

## Wielka Niepojętość

Piekło Małgorzaty leżało po przeciwnej stronie  
niż niebo Fausta,  
ale oba przecinały się w tym samym miejscu –

była nim noc.

Ona rozbierała się z ciała i zwijała zwierzątko swojej duszy  
w kłębuszek snu, na jej niebie pojawiały się anioły słów,  
słów pięknych, pachnących jaśminem, macierzanką,  
słodkich jak amaretto podawane na złotej tacy wzruszenia  
przez kupidyna poezji.

Faust, przebrany za ojca, doglądał wszystkiego, był przewodnikiem,  
jego astralność prószyla się we włosy Małgorzaty srebrnym pyłem czułości  
i była nie z tej ziemi;

Małgorzata doznawała ekstazy,  
dotyk słowa, zapach nastroju, delikatna muzyka nocy  
były tak sterylnie bezcielesne, że na samą myśl o nich  
drżała z zachwytu.

Piekło Fausta otwierało się w tym samym momencie;  
leżał za ścianą, wspinał się na jej wysoki mur i spadał,  
wspinał i spadał, ocierał krew z palców i szedł dalej,  
złote runo wzywało go spomiędzy jej ud,  
płoneło jak pochodnia wskazująca drogę,  
polana brzucha nakrywała się obrusem na ucztę,  
ramiona tworzyły krąg otwierający studnię miłości,  
w hamaku bioder kołysał się nadchodzący sztorm rozkoszy,  
i tak do rana, i tak do rana,  
póki maszt penisa łamał się z trzaskiem rezygnacji.

Spali obok siebie oddzieleni jej wstrętem i jego gorączką,  
na białym prześcieradle walały się małe trupki amorków  
skazanych na aborcję;  
nietknięte żadnym wiatrem, ciche zatoczki Małgorzaty  
śniły nadal błękitny spokój bezdotyku,  
w którego niebie smoła podchodziła Faustowi do gardła.

Piekłem Małgorzaty była cielesność Fausta,  
niebem Fausta była cielesność Małgorzaty,  
pomiędzy jednym a drugim nie było żadnej różnicy,  
ani żadnej nadziei,

a tylko wielka niepojętość,  
która samemu Panu Bogu wyrwała się spod kontroli.

## Szkic do dramatu

Najdoskonalszym azylem Fausta jest tekst;  
wszystko tu opanowane aż do rutyny,  
Faust może trzymać na wodzy sznurki fabuł,  
potrząsać kukielkami zdarzeń, dobierać dowolne puenty,  
żonglować wątkami, podmieniać słowa,  
trzymać rękę na pulsie morałów i monitorować wszystkie  
sploty okoliczności.

Może formatować tekst według własnego widzimisie  
i być go pewnym.

Powiedzmy otwarcie: Faust istnieje wyłącznie jako tekst  
i tylko wtedy trzyma lejce własnego losu.

Całe nieszczęście z Małgorzatą...

... aby wypełniła się jej rola,  
powinna być częścią tego samego tekstu,  
to przecież proste i znane od stuleci,  
stary poeta wszystko wymyślił i opisał,  
ale Faustowi zamarzyła się wolność Małgorzaty,  
nie podejrzewał, że potoczy się ona ponad nim,  
otworzy w tekście nowe niebo, nowe piekło,  
nowe Foldery Elizejskie,  
Pliki Marsowe.

Owszem, mógłby jednym ruchem  
odciąć ten rozdział fabuły, powrócić do swojej pracowni,  
gdzie dokonał wielkiego odkrycia Sensu Samotności,  
ale postanowił sprawdzić go w eksperymencie z Małgorzatą;

to musiało boleć, musiało narazić tekst na szwank,  
posypały się w nim myślniki, przecinki, spójniki,  
orzeczenia zaczęły odrywać się od podmiotów,  
narracja bełkotała jak pijana dziwka,  
wszystkie puenty leżały pokotem jak zboże po gradobiciu.

Pozostał nie napisany dramat,  
niewysłowiona komedia,  
krotochwila  
z łzą zamiast finału.



## Głębiej

Czasami Faustowi wydawało się, że Małgorzata  
wcale nie została wymyślona po to, by zwabić go do piekła,  
przeprowadzić przez jego płonące wrota  
jak Wergili Danta,  
tylko żeby uczynić go samotnym,  
oddzielonym od nieba wybrukowaną powalą ziemi.

*Vestibulum vaginae* –  
to tam Małgorzata piętżyła swą jurysdykcję zakazów,  
koncesji, warunków, uzależnień, przyzwoleń, restrykcji,  
tak, to tam zaczynał się przedsiónek piekła i roztaczał się na  
jej białe śniegi, pola różowych tamaryszków, pogórze  
obłocznych piersi, które płynęły w myślach Fausta stadami  
wełnianych baranków, lecz traktowały go jak wilka,  
na widok którego zbijały się w siną, burzową chmurę,  
zaczynały razić błyskawicami i rzucać gromy.

Małgorzata prowadziła bestię jego pożądań  
na ciężkim łańcuchu, przywiązywała ją do pnia  
brzoskwini, u której ongiś cierpiał Tantal;

trzymała o głodzie i bez wody.

Najgorzej, gdy miewała ataki furii,  
wtedy rozbierała się do naga i zaczynała taniec brzucha,  
onyks jej pępka jak pazur pantery rysował  
krew na wyciągniętych rękach Fausta,  
bransolety na jej nogach dzwoniły mu w uszach, tak  
że musiał je zatykać w furii jak Quasimodo huśtający się na sznurze;  
delfiny jej bioder wychylały się z fal kipieli  
po to tylko, by zostawić po sobie otchłań.

Wtedy Faust umierał, ale zaledwie na chwilę,  
ponieważ to była tylko rytualna męczarnia;  
łaska śmierci nie przychodzi tak łatwo, śmierć jest kobietą,  
więc Małgorzata musiała się ukobiecać, ćwiczyć  
ten wieczny solfeż wirtualnych pieszczot,  
ten głos syren wzywający żeglarza w samo oko  
tajfunu.

Ale uzalmy się i nad nią,

była przecież tylko narzędziem zbrodni,  
tajną bronią Mefisia,  
siecią, w której Faust trzepotał się jak złowiona,  
pokaleczona dorada.

Jego cierpienie było niezrozumiałe i niezawinione,  
jej cierpienie było nierozpoznane i przebrane  
w wenecki karnawał;

kiedy opadną maski, trzeba będzie ratować Małgorzatę,  
bo przecież gdzieś na dnie jest kobietą czułą i dobrą,  
i tak jak Faust w piwnicy własnego piekła stąpa  
po stropie domniemanego nieba,

bowiem niebo jest głębiej niż piekło,  
dlatego tak trudno je sięgnąć.

## **Jedyna, każda**

Rodzi się ten najstraszniejszy domysł:  
Mefisto przebrany za Małgorzatę...

Czy to tak trudno wyjąć z niej duszę i oblec  
jedwabną sukienkę jej skóry,  
utrefić włosy i gesty, założyć korale,  
tu małe tattoo, tam dyskretny piercing,  
łąkowa aura z aerozolu, powab wyuczony  
na kursach interpersonalnego treningu;

to było ćwiczone już setki razy:  
Lady Macbett, żona Pawła Jasienicy,  
wyniosłe kobiety Brunona Schulza, wampy,  
caryca Katarzyna, Agrypina, harpie, piranie,  
piekielne miasta kobiet, które śniły się  
Felliniemu.

Najlepiej nic o tym nie wiedzieć,  
nie dopuszczać tej myśli,  
kochać

zapamiętałe, totalnie, wbrew,  
z takich pokładów dobroci,  
że Mefisto przepoczwarzy się w Laureę,  
Beatrycze, Julię, Emmę Bovary...

Diabeł i anioł to bracia syjamscy,  
nie wolno ich rozdzielać, ciągnąć w przeciwne strony,

trzeba wyczekać ten stan równowagi,  
kiedy Małgorzata będzie kobietą łagodną, fatalną,  
niezastąpioną, przekłętą,

jedyną,  
każdą.

## Ofiara Małgorzaty

Mefisiu, ty łajdacki kamracie,  
po co ci ona była?, mogłeś mnie przecież kupić  
za worek złotych dukatów, igraszkami w zamtuzach,  
sytymi posiadami w Oberży pod Lwem, ach, zobacz  
jak ja w oczach młodnieję, gdy po brodzie spływa mi  
tłuszcz pożeranej giczy i czerwona strużka burgunda;  
tak, tak, męska komitywa mogłaby się okazać lepszą siecią niż ta,  
w którą mnie ucapiłeś, bo czy jest coś weselszego ponad  
rubaszną wspólnotę sybarytów, ponad hałaśliwe opilstwo  
lubieżników łoża i stołu?

Po co ci ona była?

Moją starość tak łatwo oszukać imitacjami młodości,  
mogłeś przecież podrzucić jakąś wdówkę,  
one jeszcze mają takie jędrne zadki i same się garną do obmacywania,  
mogłeś mnie zaczadzić kadzidłem podróży, aromatem winnic,  
urodą świata, która wypływa z każdego listka berberysu,  
z kropelki deszczu na owalu jabłka, dziupli w starym orzechu,  
skąd wydobywają się mozartowskie koncerty żółtodziobów,  
mogłeś zarazić mnie sztuką, włożyć mi w rękę pędzel i paletę farb,  
może namalowałbym pulsujący rytm pasji i przy sztaludze spędził  
pół wieku, zapatrzony w coraz młodsze ciała modelek?

Mogłeś w końcu wykonać swój numer popisowy –  
sprzedać mnie Bogu i przeorowi; leżałbym godzinami krzyżem  
u ołtarza, thukł czołem w zimną posadzkę i skowyczał  
o odpuszczenie win, a zaraz potem w celi stawiałbym sobie przed oczyma  
nagie ciała siostrzyczek i rękę zanurzałbym aż po łokieć  
w głębinach habitu, ach, chwilo trwaj, krzyczałbym,  
a ty byś zacierał ręce i wzvodził mnie na pokuszenie  
ciężkim grzechem Onana.

Wolałeś podsunąć Małgorzatę,

ty szatańskie nasienie, ty diable wcielony, po ci ona?,  
i tak byś mnie miał, i tak dożylibyśmy swego celu,  
ty – w smole, ja – w ludzkim chlewie,  
ty, grający z Dobrem w dwa ognie szmacianką mego losu;

po ci ona była, łajdaku?

Ona jest niewinna, ona nic nie rozumie,  
my na szalonych harleyach z rykiem odjedziemy do piekieł,  
a ona tak zostanie,  
sama,  
między Dobrem a Złem,  
już bez mojej miłości,  
już bez twego jadu,  
  
tak zostanie,  
ona!

## Faust, Satyr i Śmierć

W mieście na południu kraju,  
w akademickim hoteliku,  
w grudniowym spleenie,  
dżdżystym (od jesieni szła wiosna),  
w pokoju 604  
zawalił się mój projekt naprawy siebie,  
jeszcze raz nie udała się  
stara faustowska sztuczka.

Kiedy podszedłem do lustra,  
by po wielu odmładzających zabiegach  
zobaczyć jurnego macho,  
naprężyć bicespy,  
spojrzeć z dumą na  
nabrzmiące genitalia  
wygrażające feministkom  
swoim zawadiackim  
gestem...

...zobaczyłem  
twarz Doriana Graya  
skrzywioną w grymasie zła i klęski,  
i usłyszałem głuchy śmiech  
zwierciadła, za którym  
Śmierć galopowała  
na Satyrze.

## **Już nic**

Mefisiu,  
napisałem ci: odjedziemy do piekieł;  
nie poprawiaj mnie,  
nie ma jednego piekła,  
są piekła liczne,  
każdy ma swoje piekło, to jedyne, czego  
Bóg nie poskapił człowiekowi.

Piekło jest szyte na miarę,  
nie za ciasne, poluzowane  
tak, żeby można się było szamotać,  
tak, żeby można się było zagonić na śmierć  
albo w kozi róg.

Piekło jest chmurne,  
na jego niebie wiszą ciężkie, sine cumulusy,  
przez jego czoło przebiega głęboka, surowa zmarszczka,  
w kuźni piekła kuje się kajdany  
i bije fałszywe monety.

Piekło bardzo kształtuje charakter,  
jego absolwenci tu,  
na Ziemi,  
robią prawdziwą karierę.

Jedyną niedoskonałością piekła  
jest przeciwwaga nieba,

to nas wszystkich martwi,  
ta dwuznaczność sytuacji i celu,  
dlatego najlepiej zamknąć się  
we własnym piekle,  
gdzie nie dociera  
już nic.

## **Pokusa**

Pewnego wieczora Faust usiadł przed komputerem  
i zastygł w sinym obłoku otepienia,  
czuł tylko jak ziemia odpływa od niego, powietrze stygnie,  
lodowce ruszają na południe, zimne gwiazdy oddalają się  
z rechotem podobnym do wizgu stalowych cięciw.

W jego wnętrzu wybuchała supernowa  
próżnia po Małgorzacie,  
wszystko uciekało na boki  
i ginęło w granatowej dali,  
obok dymił krater nicości,  
na jego brzegu błyszczał jej kolczyk,  
ten sam, który dawniej  
poeci widywali w uchu Izoldy,  
a może był to tylko odprysk galaktycznej miki?

Małgorzata to ból  
niereczywistości, który jak biały karzeł  
niebytu drwi jeszcze przez miliony lat z tej pustki,  
w truchle Fausta zagnieżdża się tylko po to,  
by rozleciało się ostatecznie.

To wtedy śmierć przechodzi w stadium nicości.  
Małgorzata jest jak Antygona, która grzebie  
starców w kwaterach wszechświata;

uważajcie,  
kiedy się pojawi, będzie to przepowiednia końca,  
jej galwaniczna dłoń włoży wam na skronie wieniec apatii,  
ale zanim to pojmiecie, będziecie pisać wiersze, szamotać się,  
czekać na skinienie jej palca, skowyczeć do srebrnego księżycy  
jej ciała;

każdy szczegół tego scenariusza jest niezmienny od wieków,  
bowiem w czarny ocean niebytu musi wprowadzić was Pokusa,  
gdyby nie ona, śmierć byłaby straszna.

Nie bójcie się, śmierć jest kobietą,  
przyjdzie nad ranem i wyłączy komputer.



## Lepiej nie wierzyć

To wiersz przed odjazdem  
trudnym i zagadkowym,  
człowiek wrasta w ziemię,  
nogi zapuszczają korzenie,  
ręce jak bluszcz czepiają się  
wszystkiego, co jest;

a tutaj odjazd.

Stukot kół, gwizd lokomotywy,  
opary pary, konduktor o twarzy Charona.

Czy stare rośliny można przesadzać?

Ależ oczywiście – odpowiada Charon –  
tylko trzeba je podlewać wodą ze Styksu,  
wtedy rosną w dół,  
do samego dna.

A Małgorzata?

Małgorzata?  
Ona jest potrzebna,  
żeby w to nie wierzyć.

## **Dama z łasiczką**

Duszno,  
sznur się napina  
pod ciężarem  
życia.

Zydel kopnięty przez Mefista  
toczy się do nóg Małgorzaty,  
zamienia się w białą łasiczkę  
i liże ją po stopach.

Dobranoc Fauście,  
niech ci będzie lekkość.

## Straszny sen Małgorzaty

Było to w listopadzie;  
mimo słonecznego dnia, ciężka ćma snu  
przesłoniła oczy Małgorzaty;

oddychała nierówno i spazmatycznie,  
czasami wyrzucała ręce w górę,  
popłakiwała, mówiła przez sen  
niezrozumiałe słowa.

W końcu pogrążyła się w głębinach ciszy  
z jedną ręką odrzuconą na bok  
jak zapomniana na łące kosa,  
drugą wplątaną w czarną wierzbę włosów,  
z koszulą zadartą tak, że niemal odsłaniała  
krzewinkę jej podbrzusza,  
piersiami rozpierzchniętymi na boki  
niczym owce na widok wilka.

Od czasu do czasu wzdychała.

Faust siedział obok na zydlu,  
przyglądał się jej w niemym zachwycie,  
pod jego przymkniętymi powiekami  
przemykały bachantki,  
odaliski, nałożnice i wszystkie branki Arabii,  
w izbie pachniało kawą i daktylami,  
bulgotało nargille dymiące białym obłokiem,  
a u powały fruwały wszystkie erotyki świata.

*Kłębami dymu niechaj się otoczę;  
Niech o miłości pomarzę pół senny...*

... to właśnie wtedy Małgorzata wydała z siebie  
ciężkie westchnienie: przyśnił się jej Faust,  
który jak dżin z butelki opuszcza na zawsze jej duszę;

zerwała się na równe nogi,  
a on już zimny  
jeszcze ją trzymał za rąbek koszuli.

## Ostatnie tchnienie Fausta

Faust tak długo  
oglądał w lustrze twarz Quasimodo,  
że w końcu ze ścian Notre-Dame  
zaczęły zbiegać chimery, maskarony, smoki  
z piekielnymi ogonami i paszczami otwartymi  
jak drzwi krematorium.  
Małgorzata trzymała go za rękę,  
tropiąc skaczącą pchełkę pulsu,  
esmeraldziała w selenowym świetle,  
i nagle  
perła jej łzy  
roztrzaskująca się o posadzkę  
obudziła Fausta.  
Gretchen, Gretchen zawołał  
za jej wspomnieniem,  
które zniknęło w obłoczku  
ostatniego  
oddechu.

## Brzoza Małgorzaty

Faust pakuje walizkę, wkłada do niej kilka koszul,  
bieliznę, kosmetyki (waha się przy wodzie fahrenheit: *czy aby nazbyt nie oddaję się zbytcom, czy prawdziwy artysta powinien pachnieć inaczej niż naprawdę*),  
kilka najcenniejszych książek (*żebym tylko nie zapomniał o Janie Wolfgangu, Fiodorze i Thomasie*),  
notes, lekarstwa (*ach lekarstwa, to ważne, muszę przeliczyć, czy wszystkie, czy o którymś nie zapomniałem*)  
i na koniec mały portrecik Małgorzaty oraz pakiet jej listów  
przewiązany zwykłym sznurkiem.

Staje na progu, ogarnia izbę wzrokiem,  
jest tak jak chciał: wszystko zabiera ze sobą, tu zostaje Pustka.  
Wychodzi, dźwiga walizkę do samochodu, trzaskają drzwiczki, zaskakuje silnik,  
Faust rusza przed siebie, zdaje mu się, że na siedzeniu po jego prawej stronie  
siedzi Małgorzata, zaczyna z nią rozmawiać, kładzie dłoń na jej kolanach,  
droga pochłania go, pędzi poprzez niego,  
bierze w nim ostre zakręty, wspina się, opada,  
na jej poboczach sceny z życia Fausta (*jeśli to film, to chciałbym, aby koniecznie nakręcił go Visconti*),  
sceny gorszące w swej śmieszności, śmieszne w swej wzniosłości,  
wzniosłe w swym upadku,  
z biegiem czasu droga ma tego wszystkiego dosyć, wije się jak piskorz,  
chce wyrwać się z rąk Fausta, wyrzucić go z siebie,  
strzepnąć kurz z tej farsy na pobocza istnienia,  
uciec do przodu.

Małgorzata widzi, co się dzieje, unosi się, wybiega do przodu  
i zamienia w przydrożną brzozę, bierze Fausta w siebie, ogarnia go gałęziami,  
zielone liście śpiewają jak jej włosy, gdy całuje je w myślach.

Wokół brzozy porozrzucane listy Małgorzaty,  
wiatr je unosi, białe kartki, mnóstwo białych kartek,  
już nie wiadomo, które są prawdziwe, a które wysypały się z Fausta,  
wszystko pachnie śmiercią,  
ale to i lepiej,  
że nie fahrenheitem.

## Epilog

Nazajutrz po śmierci Fausta zespół doktora Tulpa przystąpił do sekcji zwłok. Medykom ukazał się osobliwy pejzaż wewnętrzny. Denat zamiast serca posiadał pułapkę na czas, znany wynalazek Marcela Prousta; zamiast wątroby miał siną miazgę autoudręki, żołądek wypełniony wieloletnią, nie przetrawioną papką słów cofniętych z trampoliny języka w głąb trzewi, w stawach biodrowych odłożyły się złogi witalnego zastoju, odór pesymizmu i malkontentstwa rozniósł się po przebiciu otrzewnej, a płuca były wypełnione iperytem egzystencjalnej skargi i przypominały brudną, ciężką od wilgoci gąbkę, w nerkach bulgotał tłumiony, latami wstrzymywany jad agresji. Na innych narządach wewnętrznych zauważono głębokie kratery po wyrzutach sumienia i masochistycznych używkach. Na genitaliach Fausta zadomowiła się patyna atrofii i bezcelowości. Nie odnaleziono, nawet po dokładnych analizach, ani śladu Małgorzaty. Nie wykryto charakterystycznego zapachu siarki.

– Tak oto, panowie – powiedział doktor Tulp – mamy tu do czynienia z klasycznym przypadkiem *tumor fausti*, czyli syndromem przemijania, który gna pacjenta do przedwczesnej mety, kiedy – jak wszystkim wiadomo – zaleca się wolne przechadzki po ogrodach Epikura i wszelkich pozostałych równinach żywota. A zwłaszcza wtedy, kiedy ścieżka zaczyna uciekać w dół i należy hamować. Pośpiech wywołuje panikę i powoduje zgon poprzez zadzierzgnięcie się pętli czasu na życiodajnej szyszynce Horacego. Śmierć jest powolna i przebiega w męczarniach. Bo kto nie umie żyć, nie potrafi szczęśliwie umrzeć.

\*\*\*

Nie wiem, czy Małgorzata jest ciałem czy cieniem  
i dlaczego się wdarła w moje nieistnienie;

nieistnienia nie można otworzyć kluczykiem,  
raczej głośnym milczeniem, raczej bezdotykiem,

więc kiedy mnie dotknęła cofnięciem swej ręki,  
poruszyła lawinę faustowskiej udręki,

więc kiedy mi uciekła w bezludną część nocy,  
przyszli do mnie z pociechą ciemności prorocy

i powiedzieli: skowycz, tylko skowyt słyszy  
audiokrator bezgłosu – rezonans twej ciszy;

wykrzycz więc w nią, w tę ciszę, w jej głębię, do środka  
wszystko, co z Małgorzatą nigdy cię nie spotka

i przestań czekać na to, co stać się nie może,  
i co istnieje jako nieistnienia wzorzec.

## **Faust pisze do Mefistofelesa**

Mefisto,  
oszukiłeś mnie, wyprowadziłeś w pole  
pełne ostów,

to nie chwila była wiecznością,  
tylko Małgorzata była chwilą,

przeskoczyła przez burzany mego żywota  
jako sarenka, Chloe nietykana,  
nie mogłem cieszyć się dniem,  
trwał tak krótko jak błyskawica,

ale i za to ci dziękuję,  
bowiem była to błyskawica wiosennej burzy,  
po której rozkwita jaśmin  
i winorośl nad Renem strzela w górę  
jak oszalała.

Teraz już cisza;  
czas przeszły dokonany.

Kiedy w Oberży pod Lwem  
pojawił się twój siepacze,  
byłem gotowy;

Dante z Wergilim czekali na mnie,  
zgadnij, w którym kręgu?

Już się o siebie nie martwię,  
nawet ufam, że tu, w piekle, poczuję ulgę  
i dobrodziejstwo ładu.

Ład jest diamentem istnienia.

Mam ostatnią prośbę do ciebie:  
kiedy przebrany za komiwojażera,  
agenta ubezpieczeniowego,  
funkcjonariusza tajnych służb  
lub psa, jak to miałeś w zwyczaju,  
będziesz nadal łowił zatraczone dusze,  
oszczędź proszę Leszka Ż.,



Małgorzatę, Grażynę, Kamilę, Michała  
i kilkoro przyjaciół,  
których nazwiska zostawiam ci w kopercie.

Przebierz się choćby za Matkę Boską  
i wstaw się za nami.

A teraz już dość, *apage satanas*,  
zostaw mnie, daj odpocząć,  
a tymi wierszami  
każ wybrukować piekło.

## To co by mogło, niech nie musi

*to co potencjalne jest więcej*  
(Andrzej K. Waśkiewicz)

Trzeba liczyć się z tym,  
że sen o róży jest piękniejszy niż róża,  
zaplanowana podróż skończy się w dniu wyjazdu,  
pocałunek zwiędnie, gdy tylko sięgnie  
ust Małgorzaty.

W drodze od zamysłu do konturu  
idea może spłonąć jak kadłub sputnika  
wpadający w ziemską atmosferę.

Kwiat przeciskający się przez łądygę  
nie domyśla się rozpaczy uwiądu.

Pan Bóg, kiedy pomyślał rybę,  
niepotrzebnie ją stworzył,  
kiedy pomyślał duszę,  
dał jej ciało człowieka  
na wieczne utrapienie.

Materia psuje ideę.

Miłość,  
z nią najgorzej,  
spełniona, przypomina kolorowego kolibra  
wiszącego u kielicha wonnej orchidei;  
niespełniona, wlecze się jak ociążały pelikan  
którego czyjaś ręka wyciągnęła z akwenu  
po katastrofie zbiornikowca z ropą.

## Wino i krew

Z mojego pióra kapie krew  
ciemna  
jak badeńskie wino;  
weź kroplę na koniuszek palca  
posmakuj:

krew?

ale przecież też uderza do głowy,  
rozsadza skronie,  
rozrywa aortę;

zostanie samo pióro,  
którym podpisałem cyrograf,  
wbij mi je w piersi  
jak drewniany kołek:

kruk?

to ulatująca dusza Mefista,  
czarna  
jak gawra w dębowym lesie,  
jak wiersze pisane krwią.

## Przestroga

*Lasciate ogni speranza voi ch'entrate*  
Dante

Rzućcie wszelką nadzieję, którzy tu wchodzić,  
których jeszcze tu nie ma, lecz się narodzicie.

Piekła nie ma po śmierci, piekło jest na ziemi,  
suche szczapy ciał waszych płomieniami swemi

pochłania i płoniecie jak żywa pochodnia,  
jak spadająca gwiazda, która zblaknie do dnia,

włokąc iskry rozpaczy i pożogę serca  
w kaskadę ciemnych godzin, w kulawy rytm scherza,

a po drodze odpada ta kosmiczna mika  
– meteoryt nadziei – i w bezkresie znika,

i eksploduje pustką, a w miejsce tej próżni  
nic już się nie pojawia, nic już was nie różni

od ziarna zmielonego w wielkim młynie świata,  
gdzie mąkę zjada demiurg, a otręb wylata

poza granicę sensu, poza przeznaczenie,  
w którym czasie ni miejsca na wasze istnienie,

więc zanim pokochacie to życie nad życie,  
rzućcie wszelką nadzieję, którzy tu wchodzić.

**JEJ WIOSENNOŚĆ**

Moja Małgorzata  
Bajka o czarnym kruku, duszy Fausta i uratowanej Małgosi  
Moje dorzecza  
Chwila czyli wieczność  
Déjà vu  
Małgorzata.doc  
Jej wiosienność  
Elijana  
Janek  
Szlak Eurydyki  
Ułuda  
Jej sytość  
Smak Małgorzaty  
Biedronki, poziomki  
Sprawa ucha  
Wierszyk o zazdrosnym czajniku  
Punkt G  
Pepek Małgorzaty  
Propozycja  
Kosmyk  
Na szczęście  
Lot dzikiej gęsi  
Ulica Pożądania  
Niemoc przednówka, moc wiosny  
Zwiastowanie Małgorzaty  
Straszne podejrzenie  
Cud  
Brooklyn, koniec wiosny  
Faust myśli o poezji, myśli o kobiecie  
Prośba Małgorzaty  
Wiersz, który boli  
Sonata księżycowa  
Selenowe tango  
Łza  
Te straszne noce  
Małgorzata albo Leda  
Jasność dnia  
Ostatnia nadzieja  
Kantata samobójcza  
Jej przejrzystość  
Pożar  
Czy ta sarna biegnie?  
Zapowiedzi  
Faust pisze do Małgorzaty  
Faust, Małgorzata i fiołki  
Droga do Wiednia  
Godzinki księcia de Berry

Myth must go on  
Powrót do Wiednia  
Androgen

### **SZTUKA ŻYCIA**

Faust rozmawia z lustrem  
Rozmowa Fausta z Bogiem  
Druga rozmowa z Bogiem  
Faust pisze do Kolumba  
Faust pisze do Odysa  
Faust pisze do Villona  
Faust pisze do Petrarki  
Faust pisze do Cervantesa  
Faust pisze do Goethego  
Faust pisze do Jana Sebastiana  
Faust pisze do Leverkühna  
Faust pisze do Tomasza Manna  
Mistrz pisze do Fausta  
Jasność dnia  
Faust pisze do Piotra Kuncewicza  
Faust pisze do Andrzeja K. Waśkiewicza  
Faust stara się zrozumieć  
Faust już nie pisze  
Biedna, szczęśliwa głowa  
Mój pogrzeb  
Ojciec Fausta

### **DOBRANOC, FAUŚCIE**

I co teraz?  
Kwiat amarylisu  
Rezygnacja Fausta  
Znikający punkt  
Blżej nieskończonego  
Złamane skrzydło  
Idą duszności  
Tylko krok?  
Wielka Niepojętość  
Szkic do dramatu  
Głębiej  
Jedyna, każda  
Ofiara Małgorzaty  
Faust, Satyr i Śmierć  
Już nic  
Pokusa  
Lepiej nie wierzyć  
Dama z łasiczką  
Straszny sen Małgorzaty  
Ostatnie tchnienie Fausta  
Brzoza Małgorzaty  
Epilog

\*\*\* (*Nie wiem, czy Małgorzata...*)

Faust pisze do Mefistofelesa

To co by mogło, niech nie musi

Wino i krew

Przestroga